POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 13-go stycznia 1945r.** **Rok VII. Nr. 2**

KONTRASTY

Przyjaciel mój, który powrócił właśnie z Włoch, przeszedł kampanię począwszy od Neapolu, człowiek, który na tę kampanię pojechał z tej Wyspy, znał więc szkockie nastroje i przeżywał je sam — opowiadał mi o pewnym zdarzeniu. Mówił o tym po prostu i skromnie. W jego oddziale był podchorąży, ot taki sam, jakich wielu na świecie. Pod Cassino szedł do natarcia i pocisk urwał mu prawą rękę. Do ramienia. Poszedł do szpitala. Zdołał tam wysiedzieć ledwie cztery tygodnie i potem uciekł. Nie on jeden. We wszystkich bowiem szpitalach II Korpusu panuje psychoza ucieczki na front. Lekarze skarżą się, grożą, narzekają, ale to nic nie pomaga.

Otóż ów podchorąży wywędrował ze szpitala, jak inni i zgłosił się z powrotem do oddziału: Przyjaciel mój nie wiedział co z nim robić, lecz nie miał serca odmówić jego prośbie. Podchorąży poszedł do akcji. Właśnie zbliżała się Ankona. Został łącznikiem pomiędzy Anglikami a Polakami na jednym odcinku, zasadniczo miał tylko poruszać się na tyłach.

Tymczasem jakieś jemu tylko wiadome zadanie zaprowadziło go do pierwszych linii. Obok szły czołgi. Podchorąży kręcąc się w swoim łaziku, odczuł wstrząs blisko rozrywającego się pocisku. W tym samym momencie załoga najbliższego czołga wyrzuca zabitego dowódcę. Podchorąży bez namysłu gramoli się na jego miejsce i idzie do walki. Bez prawej ręki, utraconej pod Cassino. Wchodzi do Ankony razem z innymi oddziałami. Dopiero teraz wyewakuowano go do Szkocji. Leczy się wreszcie.

Wypadek ten na tle naszej obecnej sytuacji nabiera szczególnego wyrazu, staje się prawie symbolem.

Wiąże się on nierozerwalnie z czynami bojowymi naszych wojsk na froncie zachodnim. Wiąże się z Bredą, którą Polacy nie tylko zdobyli, lecz którą oszczędzili, odrzucając pomoc lotnictwa bombardującego i narażając się przy szturmie na większe straty, niż może było to potrzebne. Ale miasto stare, historyczne zostało wzięte prawie nie zniszczone, mieszkańcy Bredy obrali generała Maczka swym honorowym obywatelem, a żołnierzy dywizji witali jak wybawicieli nie tylko od niewoli niemieckiej, lecz i od bomb przyjacielskich.

Wiąże się to z Falaise, decydującą bitwą kampanii francuskiej, podczas której Polacy walczyli dosłownie w samym środku ugrupowania nieprzyjacielskiego, narażając się na wściekłe ataki niemieckie z zewnątrz i od wewnątrz.

Wiąże się to z epizodem komicznym, kiedy to zgrupowanie "Koszutski" myląc drogę w ciemnościach nocnych natrafia na sztab dywizji SS i rozbija ją w puch. Opowiadania o przerażonych Niemcach, biegających w pyjamach po lesie i wsiadających na polskie czołgi, w przekonaniu, że są to ich własne, długo krążyły po oddziałach.

Wiąże się to wreszcie z epizodem spadochroniarzy pod Arnhem, kiedy pomimo beznadziejności sytuacji dowódca polski postanawia przeprawiać ludzi na brzeg Renu całkowicie opanowany przez nieprzyjaciela po to, by ratować brytyjskie oddziały.

Wiąże się z powstaniem warszawskim i z całym kapitałem naszym, wkładanym nieustannie do wspólnej puli wojny sprzymierzonych narodów. Ów podchorąży bez prawej ręki idący do walki czołgów, to jakiś symbol polskiego poświęcenia, przechodzącego granice normalnie funkcjonującej wyobraźni ludzkiej.

Zapewne trudno pojąć jest przeciętnemu Anglikowi, czy Amerykaninowi motywy ucieczek ze szpitali i szaleńczych zrywów podchorążackich. Trudno im, przyzwyczajonym do porządku, równowagi ducha i nakładania hamulców na wszelkie odruchy, pojąć duszę naszego żołnierza. Gdyby wiadomość o owym podchorążym, poszła w świat, przyjęto by ją nie tylko z podziwem, lecz także z wielkim zdziwieniem. Zdziwienie dotyczyłoby ucieczki z ciepłego łóżka i spod opieki lekarskiej — przestępstwo regulaminowe — i samego czynu pod Ankoną, za który obywatel brytyjski otrzymałby napewno najwyższe odznaczenie *Victoria Cross*. Gdyby, powiadam, rzecz poszła w świat, gdyby znalazło się na tę wiadomość miejsce w prasie anglo-saskiej, wrażenie byłoby wielkie. Ale jakie zrozumienie?

A tymczasem to przecież takie proste. I na froncie włoskim, tak samo jak niegdyś, za czasów Dąbrowskiego, żołnierz bije się o Polskę. I na froncie francuskim i na holenderskim i w Afryce i w Burmie, będzie zawsze to samo. Zdobyte miasto włoskie, uwolnione miasto holenderskie, przeprawa na Renie, skok nad Niemcami, to wszystko są etapy. Uczucie narodowe w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, wydaje owoce.

Wrogowie nasi oskarżając nas o to właśnie uczucie mają rację. Jesteśmy dzisiaj nacjonalistami, bardziej niż kiedykolwiek dawniej, znacznie bardziej, niż przed wybuchem tej wojny. Tylko że nacjonalizm ten jest wagi szczególnej, jest złączony niepodzielnie z ideałami, z zasadami, o które zobowiązały się walczyć wielkie mocarstwa. Nacjonalizm ten połączony jest ślubem nierozerwalnym z pragnieniem wolności pełnej i całkowitej dla wszystkich i wszędzie, z pragnieniem współpracy między narodami miłującymi pokój, z wiarą, że przecież pomimo wszystko, ofiary składane na ołtarzu sprawy, nie okażą się daremne.

Kiedy Anglicy wypowiedzieli wojnę Niemcom, nie szli do walki o Anglię. Raczej bronili zasad. Mogło się wówczas wydawać nieprawdopodobne, iż Imperium jest zagrożone inwazją kraju macierzystego. Francja czuła się bezpieczna za linią Maginot'a. Czy warto bić się o Gdańsk? — zapytywały pewne pisma. W Polsce nie było tego pytania. Od pierwszej chwili gdziekolwiek toczyły się walki, chodziło o ocalenie, o własną i cudzą wolność. Od pierwszej do ostatniej. Kiedy dzisiaj grozi Polsce najgorsze — utrata niemal całego wkładu do wojny, podchorąży bez ręki siada na czołg i dowodzi nim w walce. Ponieważ to jest u niego silniejsze, niż instynkt samozachowawczy. Ponieważ on musi tak postąpić. To jest oczywiste . . .

Dla nas, nie dla wszystkich poza nami. Przypuszczam, że zbliżylibyśmy się bardzo znacznie do ludzi Zachodu, gdybyśmy potrafili wytłomaczyć wszelkie motywy naszego postępowania i pokazać im to, co jest za zasadą, na której nieprzyjaciele Polski wymalowali napis "reakcja". A zrozumienie takie z kolei mogłoby otworzyć sprawie polskiej, sprawie już dzisiaj raczej europejskiej i bardzo zasadniczej, szerokie horyzonty i wielkie możliwości.

Słyszałem niedawno powiedzenie, że Traktat Wersalski nie powinien był stworzyć niepodległej Polski. Gdyby bowiem jej nie było, nigdy nie mógłby powstać pakt sowiecko-niemiecki, zawarty przed samym wybuchem dzisiejszej wojny. Punkty wspólne bowiem tych dwu wielkich mocarstw nie istniałyby w ogóle, natomiast punkty sporne zajmowałyby górujące miejsce w obu politykach zagranicznych. Mówił to człowiek rozumny, powaga polityczna dla wielu tysięcy mieszkańców Wielkiej Brytanii, człowiek wykształcony i kształcący innych. Trochę mi zabrakło argumentów w dyskusji, trochę krew uderzyła do głowy.

Ale ten człowiek nie rozumie Europy w ogóle, ponieważ nikt mu jej nie wytłomaczył. Ten człowiek sieje przeto niewiedzę wśród swych czytelników i zwolenników, ignorancję, za którą kiedyś czas wystawi rachunek. On też nie potrafiłby zrozumieć owego podchorążego inaczej, niż określając go mianem "romantycznego" Polaka.

Kontrasty pomiędzy nimi, a nami są ogromne, chwilami zdają się nie do przebycia. Ten sam czyn, ta sama myśl, ta sama pobudka oceniane są zupełnie odmiennie przez nas, odmiennie przez niektórych naszych Sprzymierzeńców. Dużo bardziej rozumieją nas Czesi i Jugosłowianie, znacznie bliżsi duchowo jesteśmy Turkom czy nawet Szwajcarom. Tym niemniej gdyby d o s t o s o w u j ą c s i ę d o i c h m y ś l e n i a próbować przetłomaczyć na ich język duchowy polskie motywy walki o niepodległość, motywy polskiego krwawienia w tej wojnie, jakiego naprawdę nie zna historia — to wówczas może zdołało by się pozyskać umysły dla prostych prawd dzisiaj nam do życia nieodzownie koniecznych. Może wtedy sprawa Wilna i Lwowa przestałaby być bagatelizowana, może wtedy zarzucone na składzie starych i niepotrzebnych mebli i rekwizytów piękne zasady sprzed lat czterech znalazłyby opiekunów i protektorów.

Droga ku temu zrozumieniu jest daleka i żmudna. Kontrasty istnieją nie tylko na polu międzynarodowym, nie tylko pomiędzy ludźmi dalekimi sobie duchem, wychowaniem, warunkami życia. W jakimś nieporozumieniu tragicznym tuż obok bohaterów istnieją postacie śmieszne, karłowate, przyziemne, postacie z "Cyrulika" i "Muchy", a może bardziej jeszcze z szopki jarmarku wiejskiego.

Tego samego dnia kiedy usłyszałem historię owego podchorążego spod Cassina i Ankony, ktoś inny przyniósł mi dokument osobliwy, jedyny w swoim rodzaju. Był to list, powielony, widocznie rozesłany co najmniej do kilkudziesięciu osób. List był pisany na świstku papieru słowami angielskimi, lecz trudno powiedzieć, że . . . po angielsku. List brzmiał: *"Dear Sir and Madam. By occasion of my "Name-Day" I arrange Sunday, the 19th November, 3.00 — 7.00 p.m. a "Bridge-Dance-Conversation Tea Party" for my English and Polish friends. I would be very glad if you could come. Yours sincerely.* Plan ulic zajmuje drugą stronę listu.

Kontrast tych dwu wydarzeń tak dalekich w terenie i skali jest związany jednak pewnym podobieństwem. Bohaterski podchorąży dopasowany jest ideowo do żołnierza z Warszawy, ponieważ czerpie siłę do swych decyzji z tego samego źródła. Herbata z tańcami i "konwersacja" z okazji czyjegoś *"Name-Day"* w tym samym czasie jest czymś tragicznym w swym komiźmie.

Podobnie jednak trudno jest wytłomaczyć Anglikom oba te wydarzenia. W pierwszym wypadku nie zrozumieją intencji czynu, w drugim — język i forma postawią ich przed tajemniczą zagadką.

ZYGMUNT NAGÓRSKI jr.

WYMOWA DWU ZDARZEŃ

Ubiegły tydzień przyniósł dwa wydarzenia nierównej wagi, ale pokrewnego charakteru: p. Rola Żymierski, członek "rządu tymczasowego", "naczelny wódz i minister spraw wojskowych" tego "rządu" wezwał żołnierzy polskich, walczących przeciw Niemcom u boku aliantów do "wymówienia posłuszeństwa swym reakcyjnym dowódcom"; Prezydium Najwyższego Sowietu uchwaliło uznać samozwańczy "rząd" w Lublinie za ciało reprezentujące naród polski i uprawnione do kierowania jego życiem.

Ograniczona poczytalność pierwszego wystąpienia jest czymś aż bijącym w oczy. Nabiera to wystąpienie jeszcze pełniejszej wymowy na tle propagandy stacji im. Kościuszki, która przez lata usiłowała przekonać świat, że Polskie Siły Zbrojne "nie chcą się bić z Niemcami". Na te maniackie oszczerstwa Armia Krajowa odpowiedziała współdziałaniem z Armią Czerwoną w odbiciu Wilna i Lwowa, akcją partyzancką na olbrzymią skalę i powstaniem warszawskim, 2 Korpus Polski wspaniałym wkładem do kampanii włoskiej, Dywizja Pancerna stu dniami nieprzerwanych bojów, zamkniętych między Caen i Moerdijk, Brygada Spadochronowa desantem powietrznym w Arnhem, lotnicy i marynarze służbą sprawie sojuszniczej, sięgającą znacznie dawniejszych czasów, niż "antyniemieckość" radia bezczeszczącego imię Kościuszki.

I oto do żołnierzy, którzy w taki sposób demonstrowali światu swoją "niechęć do walki z Niemcami" p. Żymierski kieruje apel, aby "wymówili posłuszeństwo" czyli opuścili stanowiska na froncie podziemnym i dwu frontach jawnych, aby, innymi słowy mówiąc, działali na korzyść Niemców. To jest pierwszy kłopot "naczelnego wodza"-uzurpatora i jego pierwszy wkład do wojny przeciw hitlerowskiemu barbarzyństwu.

Ten "apel" właściwie nie wymaga odpowiedzi. Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, zaangażowani w walce i przygotowujący się do walki, dochowają posłuszeństwa swoim dowódcom i wierności wojskom sprzymierzonym, z którymi łączy ich braterstwo broni. Bo żołnierze polscy nie zdradzają nigdy i nikogo. Bo żołnierze polscy walczą o słuszną, czystą sprawę, zawsze, niezmiennie tę samą: o wolność swoją i cudzą, o prawo do życia według swobodnego wyboru, o poszanowanie prawa każdego narodu do życia. Bo żołnierze polscy, mimo wszystkich zawodów i goryczy, wierzą niezachwianie w tych, z którymi Polska związała się w r. 1939 i z którymi związana jest do dzisiaj.

* * *

Uznanie przez Sowiety "rządu lubelskiego" a wraz z nim i "wodza", co tak czynnie współdziała z propagandą p. Goebbelsa — nie jest czymś nieoczekiwanym. Ten "rząd" jest tworem Sowietów i jest ich narzędziem. Jego skład, jego działanie jest dyktowane w każdym szczególe. Jeśli "rząd" w Lublinie coś "reprezentuje", to właśnie powolność protektorom, ich woli i ich interesom.

Jakkolwiek sam fakt uznania nie zmienia niczego, akt formalny jest poważnym uderzeniem w jedność sojuszniczą. Jest wiadomo, że Związek Sowiecki dokonał tego aktu wbrew opinii i perswazji innych narodów. Jest już także wiadomo, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie podzielają i nie zamierzają podzielić tej decyzji, uznają i będą uznawać tylko konstytucyjny, legalny Rząd polski, reprezentowany przez Prezydenta R.P. i Premiera w Londynie oraz Wicepremiera w Kraju.

Ten stan rzeczy oznacza, iż także w stosunku do Polski — pierwszego kombatanta tej wojny — Sowiety obrały odrębną i odosobnioną drogę. Ma ona służyć ich interesom, ale jednocześnie służy interesom propagandy niemieckiej. Wyzyskuje ona ten wyraźny podział w obozie sojuszniczym i pokłada w nim nadzieje dla siebie. W ten sposób ostatni krok Sowietów spotyka się z nieodpowiedzialnym wystąpieniem p. Żymierskiego.

Stanowisko całej wolnej, swobodnie wyrażającej się opinii polskiej jest w tej sprawie jednolite. Wszystkie jej organy od Rządu poprzez stronnictwa polityczne do wielkich organizacji społecznych potępiły decyzję Związku Sowieckiego jako zamach na niepodległość Polski, na jej niezaprzeczone prawo do wyboru formy i składu rządu. Stanowisko nas, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych jest takie samo, nie może być inne i nigdy inne nie będzie. Nie posłuchamy żadnych "apelów", nie uznamy żadnego aktu przemocy.

Ujawniona wobec ostatnich wydarzeń jednolitość stanowiska polskiego jest faktem, który przejmuje nas ufnością i pogłębia naszą wiarę. Opinia żołnierska żywi przekonanie, że w ślad za tą ujawnioną jednolitością stanowiska w zasadniczej sprawie, winno pójść całkowite wyrównanie różnic między Polakami na emigracji.

Żywimy przekonanie, że to jest możliwe, potrzebne, konieczne. Wyrażamy gorące pragnienie, aby to się stało. Wzywamy do tego w imię ofiar, które ponosimy i jesteśmy gotowi ponosić.

ALEKSANDER JANOWSKI

WALKA O INICJATYWĘ NA ZACHODZIE

Na froncie zachodnim trwa walka o inicjatywę. Tak można określić obecne zmagania. Aczkolwiek von Rundstedt w Ardennach nie zdołał przed trzema tygodniami osiągnąć zamierzonego celu, jakim było dotarcie do Antwerpii i rozerwanie frontu sojuszniczego, to jednak chwilowo uchwycił inicjatywę w swe ręce. Wysiłek gen. Eisenhowera zdążał więc z jednej strony do zatrzymania przełomu niemieckiego, z drugiej zaś do wyrwania inicjatywy z rąk nieprzyjaciela.

Posiadanie inicjatywy ma w chwili obecnej na froncie zachodnim szczególnie doniosłe znaczenie. Z niedyskrecji amerykańskich dowiedzieliśmy się w ostatnim tygodniu, że siły obu stron są mniej więcej równe. Alianci mają 70-80 dywizji, Niemcy bodaj tyleż samo. Atutem, który powinien przeważyć szalę na stronę sojuszników jest panowanie w powietrzu. Z drugiej strony Niemcy mają poważny atut w postaci stałych umocnień linii Zygfryda, która pozwala im na trzymanie frontu nieznacznymi siłami i użycie najlepszych jednostek w kontrofensywie. W takiej sytuacji posiadanie inicjatywy byłoby dla dowództwa niemieckiego nieocenione.

Jednakże w Belgii inicjatywa przez cały ostatni tydzień powoli przechodziła w ręce Sojuszników. Klin w Ardennach nie przedstawia się już obiecująco dla Niemców — raczej coraz bardziej kłopotliwie. Bronią oni zaciekle zdobytego terenu i nie wycofują się, ponieważ odwrót byłby bardzo kosztowny i ponieważ pragną jak najbardziej opóźnić ofensywę sojuszniczą. Ale nie liczą już z pewnością na to, by móc tu z powodzeniem wznowić natarcie, ani nawet utrzymać zdobyty teren.

Sojusznicy ze swej strony zapewne stracili nadzieję powtórzenia w Ardennach bitwy pod Falaise. Wojska marsz. Montgomery, który objął dowództwo nad dwiema armiami amerykańskimi obok 2 brytyjskiej i 1 kanadyjskiej, atakując z północy w kierunku Houffalize poczyniły wprawdzie pokaźne postępy, ale Niemcom udało się zahamować uderzenie od południa z rejonu Bastogne i połączenie się sił sojuszniczych, któreby ścięło zresztą tylko wierzchołek klina, nie będzie rzeczą łatwą.

Dla dalszego przebiegu działań zarówno w Ardennach, jak i w ogóle na całym froncie pogoda mieć będzie ogromne znaczenie. Jeżeli będzie sprzyjać akcji lotnictwa, straty niemieckie — i to straty poniesione przez najlepsze jednostki armii niemieckiej — mogą stać się tak wielkie, że w ostatecznym rachunku zysk na czasie może się Niemcom nie opłacić.

Przegląd tygodniowy

Straty te, oceniane w pierwszych trzech tygodniach ofensywy na 100.000 ludzi i tak są duże. Wprawdzie straty sojuszników nie były małe, ale Aliantów stać na nie bardziej, niż nieprzyjaciela.

Sami Niemcy wykazali, jak bardzo niepokoi ich potęga lotnictwa taktycznego Sojuszników, poświęcając poważną ilość maszyn i pilotów dla zadania ciosu temu lotnictwu. Nie wiemy, jakie szkody wyrządzili atakując jego lotniska, ale z pewnością Sojusznicy mogą je szybko wyrównać. Natomiast zapłacili za to dużą cenę, tracąc 125 samolotów. Polskie skrzydło myśliwskie odniosło przy tej sposobności jedno ze swych najwspanialszych zwycięstw.

W walce o inicjatywę von Rundstedt podjął, jak to można było przewidzieć, uderzenie w innym punkcie. Nie nad Mozą w Holandii, gdzie bodaj tylko usiłował wywołać wrażenie, że przygotowuje atak. lecz na odcinku 7 armii amerykańskiej, która została wyparta z Palatynatu. Niemcy znaleźli się znowu na ziemi francuskiej. Sforsowali oni również Ren na północ od Strasbourga. Zarysowała się tu poważna groźba dla Strasbourga i całej północnej Alzacji. Niewątpliwie gen. Eisenhower opanuje sytuację, tak jak opanował ją w Ardennach, niemniej jednak tymczasem inicjatywę mają tutaj Niemcy.

ZAGADKI FRONTU WSCHODNIEGO

Za cenę ciężkich strat von Rundstedt zdołał, jak przyznają wszyscy komentatorzy brytyjscy, odroczyć na parę miesięcy ofensywę sojuszniczą. W rezultacie nawet jeżeliby Rosjanie podjęli w najbliższym czasie tak bardzo oczekiwaną przez Sojuszników zachodnich ofensywę zimową, Niemcom nie groziłoby jednoczesne potężne uderzenie na fortecę wewnętrzną z dwu stron. Mało jednak wydaje się prawdopodobne, by mogli, jak przypuszcza w "*Sunday Times*" Scrutator, przerzucić poważniejsze rezerwy z Zachodu na front wschodni.

Jak dotąd zresztą Niemcy dają sobie radę na froncie wschodnim przy pomocy tych sił, jakie tam mają. Zdołali zmontować na większą skalę zakrojoną ofensywę dla uwolnienia odciętego garnizonu Budapesztu, jednakże nie dała ona jak dotąd decydującego wyniku, wykazując jedynie, jak wielkie znaczenie Niemcy przywiązują do utrzymania tego bastionu broniącego Wiednia. Cenę tej obrony zapłacić będą musieli Węgrzy, których stolica podzieli los Warszawy. W każdym razie postępy Rosjan były tu wolniejsze, niż oczekiwano.

Bardziej zagadkowo przedstawia się sytuacja w Kurlandii. Doniesienia z Moskwy kilkakrotnie już zapowiadały rychłą ostateczną likwidację niemieckiego przyczółka. Nie ulega zresztą wątpliwości, że Rosjanom bardzo na tym z każdego punktu widzenia zależało; gdzie jak gdzie, ale tu nie mogło być mowy o tym, by Rosjanie nie śpieszyli się; a jednak do tej pory Niemcy bronią się z powodzeniem, ostatnio zaś nawet mieli kontratakować na większą skalę.

Rozwój sytuacji w Kurlandii nasuwa obserwatorom pytanie, w jakim stopniu Rosjanie mogą szafować swymi siłami. Jednocześnie zagadką pozostaje również bierność rosyjska na froncie polskim. Nie wydaje się, by ofensywa tu nie była jeszcze możliwa z powodu braku warunków naprawdę zimowych. Wytłumaczenia szukać więc trzeba gdzieindziej, zapewne w trudnościach transportowych oraz może w niemożności jednoczesnego uderzania na kilku frontach. W prasie amerykańskiej żywo lansuje się pogląd, że powody są natury politycznej. Zapewne niedaleka przyszłość przyniesie rozwikłanie tej zagadki; radio moskiewskie i niemieckie zgodnie zapowiadają, że ofensywa zimowa się zbliża.

WOJNA PRZEDŁUŻA SIĘ

Jedno jest pewne: koniec wojny w Europie odsunął się w czasie. Prez. Roosevelt oświadczył, że może on nastąpić w tym roku, ale unikał wszystkiego, coby mogło wzbudzić w społeczeństwie jakiekolwiek przesadne nadzieje. Jego nawoływanie do totalnej mobilizacji sił ludzkich Ameryki najlepiej zresztą charakteryzuje sytuację.

Premier Churchill również poddał rewizji swe rachuby. Jeszcze w listopadzie w Paryżu tłumaczył Francuzom, że wojna nie potrwa dostatecznie długo, by zdążyła wziąć w niej udział nowa, wielka armia francuska. Obecnie jednak gen. de Gaulle uzyskał obietnicę szybkiego uzbrojenia dużej armii francuskiej, która weźmie udział w rozstrzygającej fazie wojny. Siły Francji mogą dojść do poważnej cyfry 500.000 ludzi. Mobilizacja pozwoli na częściowe rozwiązanie takich zagadnień, jak bezrobocie, a posiadanie silnej armii sprawi, że Francja nie będzie się czuła tak słaba w stosunku do innych mocarstw, jak do tej pory.

Oczywiście przedłużanie się wojny z Niemcami powoduje ożywioną dyskusję na temat powodów, dla których to nastąpiło. Wśród krytyk, jakie się odzywają najbardziej może trafia do przekonania teza, wysunięta przez Liberatora w piśmie niedzielnym "*Observer*", że Sojusznicy zbytnio rozproszyli swe siły, decydując się na jednoczesne prowadzenie na wielką skalę zakrojonych działań zarówno przeciw Niemcom , jak i przeciw Japonii. Rzeczywiście wydaje się, że kalkulacje z Quebec, według których starczy ludzi i zwłaszcza statków na obie kampanie, grzeszyły optymizmem.

SUKCESY NA DALEKIM WSCHODZIE

Skoro jednak mowa o Dalekim Wschodzie, trzeba stwierdzić, że skierowanie tam poważnych sił sowicie się Sojusznikom opłaciło. Prez. Roosevelt mógł pochwalić się rekordowymi postępami przy skokach z wyspy na wyspę: w wyniku tych postępów Japończycy zostali odrzuceni w tył o 3000 mil. Inwazja Filipin powinna umożliwić lądowanie na wybrzeżu Chin. Tymczasem drogą powietrzną Amerykanie dostarczyli Chińczykom więcej broni, aniżeli przechodziło dawniej drogą burmeńską.

Ostatnie dni przyniosły poważne sukcesy w Burmie, gdzie zdobyto port Akyab i gdzie rośnie groźba dla Mandalay. Możliwość otwarcia na nowo drogi burmeńskiej zarysowuje się już całkiem wyraźnie.

Wszystko to pozwoli Chinom na odegranie większej roli w wojnie z Japonią. Wydaje się, że Amerykanie i Brytyjczycy swe plany wojny z Japonią opierają obecnie przede wszystkim na wykorzystaniu Chin jako bazy; nadzieje na to, by Rosja wzięła udział w wojnie na Dalekim Wschodzie, ongiś bardzo duże, teraz powoli rozwiewają się.

POLITYKA FAKTÓW DOKONANYCH

Przedłużanie się wojny oczywiście uwypukla jeszcze bardziej konieczność odbudowy jedności sojuszniczej. Prez. Roosevelt mówił na ten temat w słowach pełnych troski. Nietrudno ją zrozumieć, skoro mowę jego poprzedził tydzień szczególnie namiętnych, a z pewnością mało pożytecznych polemik brytyjsko-amerykańskich, a także nowe fakty dokonane ze strony Rosji.

Takim faktem dokonanym było najpierw przekształcenie komitetu lubelskiego w "rząd tymczasowy", a następnie uznanie tych marionetek przez rząd sowiecki. W ten sposób wbrew woli całego narodu polskiego usiłuje się narzucić mu rządy obcej agentury, zmierzającej wyraźnie do ustanowienia ustroju komunistyczno-totalnego, jak najbardziej Polakom wstrętnego. Decyzja rządu rosyjskiego nastąpiła pomimo usilnych wezwań ze strony W. Brytanii, aby nie pobierał jednostronnych decyzji. Jest to oczywiście nowy cios zadany jedności sojuszniczej.

Nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby nastąpiły w najbliższym czasie inne posunięcia sowieckie, zmierzające poprzez takie czy inne fakty dokonane do wzmocnienia sytuacji Rosji podczas nadchodzącej konferencji "wielkiej trójki". Wiele będzie zależało od stanowczości pozostałych mocarstw. Energiczny protest anglo-amerykański przeciw pogwałceniu elementarnych praw sojuszniczej Polski — prawa do niepodległości i do swobodnego wybrania sobie rządu — nie pozostałby chyba bez echa.

PRZED SPOTKANIEM "WIELKIEJ TRÓJKI"

Horyzont polityczny pozostaje więc zachmurzony. Otwarta jest sprawa Grecji, gdzie pomimo dojścia do władzy gen. Plastirasa, zdecydowanego republikanina, oraz usunięcia zbutowanych oddziałów ELAS z Aten, nie przybliżył się koniec wojny domowej. Narasta też zagadnienie Jugosławii, której — podobnie jak Polsce — grozi reżym totalny, narzucony wbrew woli narodu.

Czy spotkanie Roosevelt-Churchill-Stalin, którego niedaleki termin — koniec stycznia, lub początek lutego — ma być już ustalony, pozwoli na odbudowę jedności sojuszniczej? Wiele zależy od tego, czy na tym spotkaniu podjęta zostanie jedynie próba powrotu do koncepcji teherańskiej , czy też wyciągając wniosek z bankructwa tej polityki szukać się będzie nowych dróg. Słusznie pisze "*Tribune*": " . . . Nonsensem jest przypuszczać, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko Stalin, Roosevelt i Churchill raz jeszcze spotkają się na tajnym zebraniu. Czego potrzeba, to nie zebrań, lecz zasad trwałej współpracy i wierności tym zasadom, z chwilą gdy zostały uzgodnione. Cierpimy nie z powodu braku porozumienia. Cierpimy z powodu fałszywego rodzaju porozumienia".

Prez. Roosevelt zapowiedział, że uczyni już teraz, czyli podczas nadchodzącego spotkania "wielkiej trójki", wszystko co leży w ludzkiej mocy, aby zapewnić realizację zasad Karty Atlantyckiej. Jeżeli zdoła cel ten osiągnąć, to zaskarbi sobie wdzięczność wszystkich ludzi wolnych.

Londyn, 7 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

Niemieckie dowództwo wybrało taki czas na rozpoczęcie ofensywy, w którym warunki atmosferyczne wykluczały skuteczne przeciwdziałanie lotnictwa alianckiego. Samo natomiast zaangażowało gros swego lotnictwa w masowym działaniu. Przy równoczesnym zaskoczeniu ziemnym i należytej osłonie z powietrza, sukces był pełny i pierwsze dni walki przyniosły poważne zyski terenowe.

Lecz niebawem pogoda polepszyła się znacznie i rozpoczęła się wielka bitwa lotnicza o przewagę w powietrzu. W zależności od wyników tej bitwy nad ziemią, zmieniała się sytuacja na ziemi.

Było jednak rzeczą jasną, że dla uzyskania pełnego powodzenia, Niemcy powinni byli zaangażować trzykrotnie większą siłę, niż ta, jaką zaangażowali, względnie byli w stanie zaangażować. Bitwa o przewagę w powietrzu zmienia się przeważnie w bitwę o wyczerpanie.

Gdyby Rundstedtowi udało się przekroczyć Mozę w ciągu pierwszych pięciu dni, zaś w ciągu następnych pięciu dojść do wybrzeża belgijskiego, może by wówczas *Luftwaffe* mogła wypełnić powierzone jej zadanie, zaś po dłuższym okresie przerwy na uzupełnienie strat w samolotach i załogach — przygotować się do drugiej fazy działania; było by to rolowanie skrzydła alianckiego opartego o morze, względnie próba przepołowienia sił alianckich przez uderzenie w kierunku Paryża.

Jednak tak się nie stało. Przewaga lotnictwa alianckiego nie pozwoliła na rozszerzenie wyłomu. Niemcy zostali wstrzymani przed Mozą i — co najważniejsze — lotnictwo niemieckie zostało wplątane w ową bitwę na wyczerpanie, przewlekłą, pochłaniającą masę materiału, a tym samym dla Niemców groźną. Już dziś możemy przewidzieć, że ta bitwa skończy się porażką *Luftwaffe*, o ile nie posiada ona olbrzymich, starannie dotychczas ukrywanych odwodów.

W każdym razie aktywność lotnictwa niemieckiego rozwinęła się na skalę niespotykaną od czasu bitwy o Wielką Brytanię. Zestrzały dzienne podawane przez Aliantów sięgają w niektórych dniach cyfry dwieście maszyn, a nie schodziły niżej czterdziestu. Nie przypuszczamy, by lotnictwo niemieckie było aż tak potężne, a wzrastająca od szeregu miesięcy produkcja przemysłu lotniczego aż tak podwyższona, by strata 1/5 stanu pierwszej linii w ciągu dwóch tygodni na jednym tylko odcinku frontu, mogła być z łatwością i w krótkim czasie wyrównana.

Nieraz pisaliśmy o czekającej Niemcy wielkiej walnej bitwie powietrznej, która zaważy na losach *Luftwaffe*. Przypuszczaliśmy, że nastąpi ona w porze starannie przez dowództwo niemieckie wybranej, w warunkach najdogodniejszych, przy możliwości przerwania działań, w razie, gdyby zarysowały się przed *Luftwaffe* możliwości klęski. Nie chcemy sięgać w niepewną przyszłość. Wydaje się nam, że chociaż godzina rozpoczęcia ofensywy grudniowej dla Rundstedta została starannie wybrana, jednak bieg wypadków nie pozwolił przerwać walki przed decydującym końcem. Należy przypuszczać, że właśnie to może poważnie zaważyć na losach wojny.

W każdym razie Niemcy zaangażowali wszystko, co tylko mieli w tej chwili do dyspozycji. Nawet niemieckie bombowce ukazały się w powietrzu po raz pierwszy od września. Zaczęły naprzód od minowania wód, następnie przeprowadziły szereg operacji nocnych z zadaniem bombardowania frontu, które miało przygotować uderzenie. O ile sam pomysł taktyczny był dobry, o tyle jednak zasadniczy warunek: masowego użycia, nie mógł być spełniony, bowiem *Luftwaffe* nie rozporządza już m a s a m i bombowców. I tak największa siła zaangażowana w nocy nie przekraczała 200 bombowców, co — jak wiadomo — nie jest cyfrą wielką, tym bardziej, że niemieckie samoloty bombowe mają udźwig znacznie mniejszy od samolotów alianckich.

Ataki na lotniska alianckie, przeprowadzone na większą skalę przy zaangażowaniu blisko 300 myśliwców — były jednak spóźnione. Z zasady tego rodzaju interwencję prowadzi się przed, nie w czasie działań, przy użyciu wszystkich, a nie ograniczonej liczby środków. Bowiem w dalszym ciągu jeszcze obowiązuje zasada: kto jest pierwszy nad lotniskami nieprzyjaciela ten ma wszystkie dane zwycięstwa. Ten zaś atak na lotniska alianckie nie miał na celu zniszczenia siły powietrznej nieprzyjaciela na ziemi /bo jej mieć nie mógł/, lecz był tylko próbą powstrzymania kłopotliwej i na zbyt wielką skalę prowadzonej przez Aliantów kontrofensywy powietrznej.

W wyniku ataku *Luftwaffe* straciła nieprawdopodobną sumę przeszło 50% zaangażowanych sił. Suma 193* samolotów straconych stanowi dziś swego rodzaju rekord.

Nie jest to jednak koniec i przypuszczać należy, że będziemy świadkami jeszcze większych bitew powietrznych i to w najbliższej przyszłości.

Przypuszczać dalej należy, że losy lotnictwa niemieckiego rozegrają się na Zachodzie, nie na Wschodzie. Ponieważ zaś od udziału lotnictwa niemieckiego zależna jest bezpośrednio możność swobodnego manewru wojsk lądowych — losy niemieckiej armii rozegrać się mogą nie gdzieindziej, lecz właśnie na zachodnio-europejskim teatrze wojennym.

* W tym samym dniu na całym froncie przeszło 300!

Bezpośrednio przed Bożym Narodzeniem oddział polski Towarzystwa Prawa Międzynarodowego /*International Low Association*/ odbył swe posiedzenie, na którym ppułk. Piątkowski wygłosił interesujący referat na temat tła konferencji międzynarodowej w Chicago.

Przyczynę niepowodzenia tej konferencji /wzięły w niej udział 54 państwa w imponującej sumie 400 uczestników/ widział prelegent, nie bez racji, w zarysowujących się sprzecznych poglądach na sprawę rozwiązania organizacji międzynarodowej komunikacji lotniczej. Prelegent po krótkim rysie historycznym rozwoju lotnictwa komunikacyjnego przystąpił do zarysu przyszłości. Widzi w tej chwili dwa państwa, które wchodzą w szranki konkurencyjne: Stany Zjednoczone Ameryki i Wielką Brytanię. Rosja stanowi wielką niewiadomą. Jednak przypuszczać należy, że w tej chwili nie będzie odgrywać roli zasadniczej na całym świecie na odcinku komunikacyjnym — w każdym razie nie odegra roli czynnej. Dlatego U.S.A. i Wielka Brytania muszą ułożyć między sobą jakiś sposób wzajemnego współżycia. Lecz są trudności. Stany Zjednoczone mają samoloty, lecz nie mają baz, Wielka Brytania ma bazy, lecz nie ma samolotów.

W następstwie, Stany Zjednoczone dążą do wolnej konkurencji, gdyż w tych warunkach dzięki posiadanej flocie powietrznej stanęłyby na pierwszym miejscu, szczególnie gdyby ponadto przyjęta została zasada bezwzględnej wolności powietrza /wyeliminowanie baz/. Wielka Brytania chce natomiast, by bazy odegrały swą rolę. Jest świadoma, że przy zachowaniu pewnej suwerenności baz, kontrola właściciela baz nad liniami komunikacyjnymi daje olbrzymie możliwości uczestniczenia zarówno w politycznym jak i materialnym zysku. Ponieważ jednak W. Brytania jest także w pewnym stopniu zależna od baz obcych, widzi ona rozwiązanie w ograniczonej wolności powietrza, przy częściowym umiędzynaradawianiu baz, oraz w przewidzianym z góry podziale interesów wewnątrz linii międzynarodowych.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

1 s t y c z n i a: W nocy z 31.XII./1.I. lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin oraz inne miasta Rzeszy.

—Stoczono wielką bitwę powietrzną z lotnictwem niemieckim, atakującym lotniska Sprzymierzonych na froncie zachodnim. Niemcy stracili 364 samoloty. Spośród 155 samolotów niemieckich zestrzelonych w powietrzu przez lotnictwo brytyjskie i amerykańskie piloci polscy zestrzelili 18.

—Zacięte walki na ulicach Pesztu. Buda, prawie całkowicie znajduje się w rękach wojsk sowieckich.

—Minister spraw zagranicznych Stanów Zjedn. oświadczył, że Stany Zjedn. w dalszym ciągu uznają rząd polski w Londynie.

2 s t y c z n i a: Ogłoszono, że ofensywa niemiecka w rej. Bitche rozwija się na froncie długości 50 mil, od Saarguemines do Renu.

—W Ardennach wojska amerykańskie kontratakując Niemców zajęły Hubertmont i Bonnerue, na zachód od Bastogne.

3 s t y c z n i a: W nocy z 2/3 lotnictwo brytyjskie bombardowało Norymbergę, Berlin i Ludwigshaven.

—Amerykańska I Armia atakuje Niemców od północy w Ardennach.

4 s t y c z n i a: Wojska amerykańskie atakując Niemców w Ardennach od północy posunęły się naprzód.

—Niemcy atakują na płn.-zach. od Budapesztu.

—Ogłoszono szczegóły walk Armii Krajowej w październiku i listopadzie ub. roku.

—Podano, że Niemcy spalili Jasło i Opatów.

—Zaprzysiężono nowy rząd grecki. Premierem jest gen. Plastiras.

5 s t y c z n i a: Wojska niemieckie przekroczyły Ren na płd. od Strasbourga.

—W Atenach i Pireusie ustał zorganizowany opór partyzantów E.L.A.S. Walki toczą się w Salonikach i innych miastach Grecji.

—Ogłoszono, że marsz. Montgomery dowodzi kontrofensywą Sprzymierzonych na północy Ardennów. Gen. Bradley dowodzi na południu.

—W Moskwie ogłoszono, że rząd sowiecki uznał "prowizoryczny rząd polski" w Lublinie. W Londynie i Waszyngtonie ogłoszono, że rząd brytyjski i amerykański w dalszym ciągu uznają rząd polski w Londynie.

6 s t y c z n i a: Lotnictwo brytyjskie w nocy z 5/6 bombardowało silnie Hanower i Berlin. Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Kolonię, Koblencję i in.

—Patrole polskiej Dywizji Pancernej przekroczyły za dnia Mozę, w rejonie m. Heusden w Holandii.

—Amerykańska I Armia atakuje na płd. zach. od Stavelot, w Belgii.

—W Japonii ogłoszono, że wojska amerykańskie rozpoczęły lądowanie na wyspie Luzon /Filipiny/.

7 s t y c z n i a: W nocy z 6/7 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie okolice Frankfurtu nad Menem.

—Wojska Sprzymierzonych przecięły drogę dostaw Niemców wiodącą z Laroche do St. Vith w Belgii.

Czas przypowieści

JESZCZE RAZ JESIEŃ I JESZCZE RAZ WARSZAWA

—Nikogo już nie przekonamy siłą — mówił jeden z poruczników. — Chociaż wszyscy wiedzą, że się umiemy bić . . .

Zgasili właśnie radio, przez które w audycji polskiej z Londynu nadany został nowy komunikat generała Bora o walkach Warszawy. Był dzień przerwy w działaniach Dywizji Pancernej. Mieszkaliśmy w schludnym, belgijskim miasteczku. Okna domu zajętego przez dowództwo pułku wychodziły na Skaldę. Ale myśli wszystkich były daleko. Były podminowane goryczą i niesmakiem.

—Sześćdziesiąty dzień — powiedział, odwróciwszy głowę rotmistrz Maniewski, który zostawił w Warszawie żonę i dwoje dzieci. Wstał nagle i podszedł do okna. Siwa, szara rzeka, deszcz w szyby zacinający — roztaczał się za oknem obraz jesiennej jednostajności, widmo trawiącego pierś smutku. Rotmistrz patrzał w dal tępo uparcie, ale nim się odwrócił, wyjął z kieszeni nerwowym ruchem chustkę i udawał, że wyciera nos.

Trzeba było przerwać napięcie milczenia, które zapanowało na chwilę. Ktoś zapalił lampę. Zrobiło się cieplej i weselej. Porucznik Matusik siadł przy fortepianie i zaśpiewał, akompaniując sobie niezawsze w zgodzie z harmonią:

"Wojenka, to cudna pani
żołnierza swego nie pieści,
jednego przeszyje kulą,
drugiego zgubi bez wieści . . ."

Znowu otrząsnęli się wszyscy z cisnącej wyobraźnię zmory. Potoczyły się rozmowy beztroskie, jak gdyby nigdy nic. Przerzucali się szybko z tych upadków ducha w świat swoich drobnych radości i kosztowania życia od strony choćby wygody owych foteli, na których siedzą i zamożnego domu, w którym mieszkają dziś właśnie i białego obrusa na stole, na którym będzie kolacja. Co za kontrast z życiem w namiotach albo w czołgach. Przemierzyli nimi szmat kraju, Francję i Belgię, niebawem będą w Holandii — wędrowcy bez ojczyzny, przywiązani do swoich wędrownych bud, tyle tylko, że są pancerne. Ta przygoda wyczerpuje w nich do reszty żądzę przygód. Nawet stłumiła ciekawość. Już tylko chyba dla drobnych radości łóżka, stołu i fotela.

Brakowało znowu trzech ludzi w tym beztroskim na oko gronie. Dwóch spaliło się wczoraj w czołgu, jednego wyciągnięto z poszarpanymi nogami. Odsuwali od siebie myśl o tym. Ci, tutaj obecni, żyją. To nieważne niby, ale przecież najbardziej istotne.

WYJŚCIE Z WOJNY NA TRZY DNI

Pułkownik wrócił z odprawy, głos jego dochodził już z sieni, wtargnął jak żywioł humoru i zdrowia między te niewyznawane myśli i rozważania, które toczyły jego ludzi.

—Wszystko świetnie — mówił. — Trzy dni będziemy tu stali. Uzupełnienia i odpoczynek. Dobry wróg wysadził mosty i zaminował się tak skutecznie, że mamy z nim spokój.

Otworzył tymi słowami obszar ogromnej wygody, spokoju, odprężenia. Trzy dni. Masa czasu i bezpieczeństwa. Jaki przyjemny kontrast z walkami minionego tygodnia. Wobec tego adiutant już proponował bridża.

—Znowu będą w karty młócić, skaranie boskie z tym kartograjstwem — mówił rozciągniętym, zrzędzącym głosem kwatermistrz, sam siadając do stolika. — Tylko przy kartach potrafią grupowo pracować z niejakim skutkiem. Poza tym chyba tylko pod rozkazami . . . O tak! — wyciągnął pięść, mającą niby wyobrażać ten przymus.

Podchwycił tę myśl pułkownik, rozpierając się w fotelu szeroko, rzuciwszy nogę na nogę, zawsze trochę gwałtownym gestem. Samym swoim zachowaniem zarażał innych niepokojem i pośpiechem. Było w nim coś młodego, dziecinnego właściwie, gdyby nie naszywki, nakazujące respekt.

—Indywidualność roznosi każdego, jak drożdże. — Sam stanowił zresztą bujny jej przykład. — Dwóch wybitnych Polaków to rzadko kiedy suma ich siły i możliwości, pchnięta we wspólnym kierunku czy celu, to już zaraz powód do starcia. I nawet o bitnych tylko, to samo można powiedzieć. Opory, tarcia wzajemne pochłaniają większość ich talentów. Nie dodają się, ale znoszą się. Czyli w wyniku zero.

Poprawił się, uważając że to znoszenie się, o którym mówi w matematycznym wymiarze, może być źle zrozumiane. Próbował gry słów:

—Znoszą się, bo się nie znoszą. — Śmiał się. Ale nikt nie podchwycił tego tonu.

PRZYPOMNIENIE DAWNEJ PRZYPOWIEŚCI

Popijali francuskie wino, przysłane przez radę miejską, jako prezent dla pułku. Z podziękowaniem za oswobodzenie.

Rotmistrz Maniewski, dowódca trzeciego szwadronu, zaczął z innej beczki, próbując nawiązać znowu do nastroju, przerwanego wejściem pułkownika. Cedził słowa, nie śpiesząc się. Wydawało się wszystkim, że mają przed sobą ogromny obszar czasu.

—Przypomniałem sobie, słuchając komunikatu z Warszawy, powiedzenie mojego kierowcy. Mówi wczoraj niespodziewanie: moja ojczyzna jest tam, gdzie mnie jeszcze nie było. Bo ta, z której jestem, to jak wspomnienie z dziecinnego obrazka.

Noga pułkownika zakołysała się gwałtownie na znak niecierpliwości. Nie lubił tego rozszarpywania własnych ran. Czy im ciągle jeszcze nie dosyć? Ale nic nie powiedział, wychylił tylko jednym haustem swój kieliszek wina. Doktór nalał odnowa.

Podporucznik Matusik przy fortepianie kończył swoją piosenkę:

"Z piosenki naszej życie
wesołym śmiechem tryska
i każdy pragnie skrycie,
by przyjrzeć się nam z bliska . . ."

Brydżyści już mieli po łokcie roboty w sąsiednim pokoju.

I wtedy ni stąd ni zowąd porucznik Grudzień, którego nikt nie podejrzywał o wyobraźnię, powiedział:

—Sytuacja nasza przypomina mi bajkę. O tej dziewczynie, która uciekała przed potworem. I rzucała mu, biegnąc, najpierw grzebień, potem chustkę, potem zarzutkę, wreszcie pantofelki — po kolei wszystko co miała. A mimo to potwór dognał ją wreszcie i pożarł!

Zaskoczeni byli tą historią, ale podnieśli uszy. Do czego ten Grudzień prowadzi? Zatrzymał się na chwilę, myśleli, że to już wszystko, ale on dalej swoje:

—Ile razy zastanawiałem się nad tym, jeszcze jako dziecko, przychodziło mi na myśl zdziwienie: poco ten upór dziewczynki, skoro potwór i tak ma ją pożreć? Poco przedłuża sobie biedactwo strach przed nim, poco się broni, kiedy wszystko i tak na próżno? Czy nie mądrzej od razu poddać się, od razu zrezygnować, od razu dać się pożreć?

Pułkownik namarszczył brwi i fuknął:

—Ponura brednia.

Ale Grudzień, ciągle jeszcze zdziwiony, jakby tłumaczył sobie powód tego dziwnego zachowania dziewczynki, dodał szybko i łagodząco:

—Bo bez tego nie było by bajki, tak przypuszczam.

—Nie, nie — buntował się pułkownik, machając gwałtownie nogą i poruszając kieliszkiem, już znowu pustym — nie trzeba nam takich bajek. Psują ducha w oddziale. Nie macie lepszych?

CO DOKTÓR MÓWI O PRZYPOWIEŚCIACH

Ale doktór wtrącił się do rozmowy, spełniając pilnie rolę podczaszego.

—Ludzka próba unikania rzeczy nieuniknionych jest przedmiotem tragedii raczej, niż bajek. — To był tylko wstęp zresztą, bo postawiwszy na stole pustą butelkę, pochylił się, położył ręce na kolana, jakby zbierając się do powiedzenia rzeczy poufnych a ważnych i mówi: — Gdyby jeszcze istniała współmierność między cierpieniem istot pożeranych, a przyjemnością pożerających . . . Ale o czym tu marzyć? — Zaczynał niemal fachowo medyczny wywód.

—Że co? — wtrącił pułkownik, przekrzywiając głowę z niedowierzaniem.

—Bo proszę sobie wyobrazić, co za okropność przeżywa stwór pożerany żywcem przez jakiegokolwiek potwora, gdy potwór takim sposobem zaledwie nasyca głód. Gdyby w porównaniu z męczarnią stwora pożeranego żywcem, istota pożerająca odczuwała to, co ów stwór cierpi, ale w przeciwnym sensie, więc w kategoriach przyjemnościowych, musiałaby chyba przeżywać wstrząsy takiej ekstazy, o jakiej się nikomu nawet w miłosnych okolicznościach nie śniło . . .

—Doktór powinien się na tym znać — stwierdził pułkownik z wyraźną przymówką do brzmiących prawie zabawnie "miłosnych okoliczności". Chwilę siedzieli wszyscy nie bardzo wiedząc co z tym fantem zrobić.

W CZAS PRZYPOWIEŚCI — "NIC NOWEGO"

Napięcie uwagi prysło. Nikt z doktorem nie będzie się spierał na te tematy. Był ich uznanym znawcą, nie na darmo mówiono o nim, że filozof.

—Opowiedzcie coś więcej — nalegał pułkownik. — Ale do rzeczy, do rzeczy — powtarzał. — Niech wiem co moi oficerowie myślą, kiedy już mowa o sytuacji. No, Matusik? No, Maniewski? Człowiek mocny serca się nie wstydzi, chociaż go nie wszystkim pokazuje — wybuchnął nagle, jakby chcąc zaznaczyć, że nie rozum teraz rządzi, tylko uczucie.

A potem, z lekkim machnięciem ręki: — Ja nie namawiam. Gadajcie sobie, co chcecie.

I już tylko jako wyraz własnych myśli, nagle rzewnych z powodu wina, a może z powodu wzruszeń, których nie dzielił z nikim, wyrwało mu się prawie niechcący:

—Ot, głupie, żołnierskie serce . . .

Otworzono nową butelkę wina.

—Pod to serce — powiedział doktór, podnosząc kieliszek.

—Serce ludzi bezdomnych — rotmistrz Maniewski przytknął kieliszek do ust i patrzał znad niego oczami człowieka smutnego.

—Istoty pożeranej — myślał doktór, w przelocie łapiący czuciem bardziej, niżeli wzrokiem to jego spojrzenie.

—Czasy są widać takie, że wszyscy mówią przypowieściami — zauważyłem.

—Przypominam sobie coś w tym rodzaju — wtrącił niespodziewanie kapelan w mundurze kapitana, z krzyżykami na patkach przy kołnierzu, siedzący z nami niemal niepostrzeżenie, bo małomówny bardzo, za wyjątkiem kazań w niedzielę, jednak mający wśród wojska opinię osoby nad wyraz dobrej i niemal jednako uczonej.

Ale uwaga towarzystwa rozproszyła się pod wpływem przybycia jednego z wojennych korespondentów, którego witano właśnie częstując od razu winem. Jednocześnie z zapytaniem: "co nowego?" nawet od stołu brydżystów w sąsiednim pokoju padło wezwanie pod adresem przybysza: — czy masz nowe kawały? Był bowiem znany z opowiadania mocno nieprzyzwoitych. Pułkownik dopiero osadził ogólną wrzawę i pretensje porucznika, który wymawiał korespondentowi, że nie wymienił przez radio drugiego plutonu, a przecież drugi pluton . . . i przerwał ostro, niby wydając komendę:

—Głos ma ksiądz kapitan. Słuchamy!

PRZYPOWIEŚĆ O MYSZY I KOCIE

Uciszyli się, zapalili papierosy. Niech mówi. Ksiądz wątły, długi, nieco ascetyczny, zażenował się trochę tym przywołaniem wszystkich do porządku z jego powodu, i jakby szukając usprawiedliwienia powtarzał:

—To z perskiego. Z perskiego. — I nabierał tchu otwartymi ustami, chociaż mówił jakby przez nos.

—A choćby z perskiego, proszę bardzo — zachęcał uprzejmie dowódca i kiwał nogą.

—To jest historia o tym, jak się skończyła przyjaźń rodu mysiego i kotów. Dzieje pierwszego kota . . .

—Jakiego znów kota, czy profesora? — korespondent próbował za wszelką cenę zaznaczyć swoją obecność chociażby takim tylko kawałem. Ale ksiądz nie podchwycił, tylko uzupełnił:

—Pierwszego kota, pierwszej na świecie myszy oraz koguta.

Nawet doktór zdradzał pewną niecierpliwość. Najwyraźniej poganiał kapelana, mówiąc:

—No już, już.

—To także ma posmak aktualności — zaczął kapelan, chrząkając. Przełamywał wyraźnie swoją nieśmiałość, ale zarazem przygotowywał efekty. I spojrzał na mnie z naciskiem, jak gdyby nawiązując do powiedzenia o czasach przypowieści.

—Historia pra-kota, pra-koguta i pra-myszy, a ? — powiedział korespondent, zmieniwszy ton i wyjął notes.

—Kiedy to już dawno napisane — zauważył kapelan i zawstydził się trochę, bo nie chciał, żeby go posądzono o złośliwość. I rzekł z pośpiechem, wciągając powietrze. — Na początku bowiem było tak, że się kot przyjaźnił z myszą.

Nie wytrzymał Matusik, żeby nie wtrącić:

—Mysz mu pewno musiała obiecać, że go nie pożre . . .

Ale kapelan puścił to mimo uszu i jął dalej opowiadać swoje.

—Nie było w ogóle kwestii, żeby kot z myszą miał źle żyć. Przeciwnie. Mysz dbała o dostarczanie żywności kotowi, a kot ją bronił przed niebezpieczeństwami. To urządzenie było wygodne i korzystne dla obu stron.

Ale wtrącił się w ten ich interes kogut. Przez zazdrość. Żeby pozyskać przyjaźń kota, który nazbyt chwalił sobie usługi myszy. I polegał na nich aż do przesady, zaniedbując innych przyjaciół. A że kot ma pazury, więc przyjaźń jego było cenna. By ją pozyskać kogut uknuł intrygę. "Mysz jest fałszywa" — nagdakał kotowi w ucho. — "Bardzo fałszywa i niebezpieczna dla ciebie. Strzeż się myszy".

Porucznik znowu wtrącił:

—A nie mówiłem?

Kapelan opowiadał dalej:

—"Ależ nic podobnego — miauknął kot. — Nie zawiodłem się na myszy ani razu. Dogadza mi, dba o mnie, jak mało kto. Przyjaźń jej jest na pewno szczera, mam tego liczne dowody. Będę jej bronił przed każdym niebezpieczeństwem". "Jesteś naiwnym kocurem" — piał kogut. — "Ślepym i głupim. Przestałeś spostrzegać co się wkoło ciebie dzieje. Udało się myszy uśpić twoją czujność. I nie widzisz nawet, jak się mysz zmieniła od pewnego czasu. Ależ to wilk w mysiej skórze! Zauważ tylko, że ma minę istoty o nieczystym sumieniu. Jaka niepewna, jak niespokojna czy się nie zdradzi przypadkiem. A nastaje ni mniej ni więcej — na twoje życie".

Kotowi nie chciało się wierzyć. Ale kogut zaszczepił podejrzliwość w serce kota, który pomyślał sobie: muszę się tej mojej myszy dobrze przypatrzeć następnym razem. A nuż kogut ma rację?

Kiedy więc znowu mysz przyszła do kota, kot spojrzał na nią wzrokiem tak surowym, tak bardzo innym niż zwykle, że się mysz po raz pierwszy przelękła. Ten jej strach i wywołane strachem zakłopotanie było aż nadto wyraźne. Objawiło się nagłą zmianą zachowania. Nie wiedziała, gdzie się podziać z tym uczuciem.

Aha, pomyślał kot, potwierdzają się kogucie przestrogi. Mysz coś knuje niedobrego. Ładne rzeczy. I rozgniewał się nagle. Mysz chciała coś mówić, tłumaczyć się, usprawiedliwić przestrach, ale w przystępie złości kot nie dopuścił jej wcale do słowa. Zdzielił ją łapą raz i drugi, bawiło go, że taka przestraszona, a potem czując głód w trzewiach, skoro nie pozwolił myszy postarać mu się o obiad, pożarł mysz samą. Od tego czasu, nie mając innego wyboru, zasmakował w pożeraniu myszy. I od tego czasu skończyła się już na zawsze przyjaźń myszy z kotem.

Kapelan wytarł usta chustką rad, że dobrnął do końca i rozglądał się jakby niepewny, czy rozumiemy.

—Brawo! powiedział doktór. — Gdzie to kapelan takie rzeczy wymyśla czy wynajduje?

—Z perskiego, proszę kolegów — przypomniał kapelan.

PRZYPOWIEŚĆ O DWU DZBANKACH

—Jaka to tam perszczyzna — żartował pułkownik — kiedy w grze jest nasza własna skóra. Ja tak samo — ciągnął — kiedy rozmawiam z Anglikami, nic nie mówię. Tylko opowiadam o dzbankach. To nikogo nie drażni, a przecież każdy rozumie.

—O dzbankach? — zapytał korespondent, który robił notatki.

—O dzbankach, proszę panów. Ale ja się daję ciągnąć za język. Cóż ja biedak mogę innego robić wobec ludzi, którzy się czują mądrzejsi od biedaków? Opowiadam o dzbankach. I wtedy dopiero zaczyna się rozmowa . . .

Było jasne, że miał na myśli jakichś bogatych angielskich przyjaciół. A może wszystkich angielskich przyjaciół?

—To ze Starego Testamentu — uzupełnił pośpiesznie. — Biedna dziewczyna poszła do studni z glinianym dzbanem, którym czerpała wodę. Dzban ten stanowił cały jej majątek. Noszeniem wody zarabiała na życie. Ale kiedy go zawiesiła na powrozie i opuściła w głąb studni, powróz zerwał się i dzban utonął. Rozpaczała wobec tego koło studni, nieszczęśliwa ogromnie i niepocieszona. Cały majątek!

Przyszła na to bogata dziewczyna ze złotym dzbanem. — "Czemu płaczesz?" — zapytała biednej.

—"Gliniany dzban mi utonął. To wszystko co miałam na świecie". — "Płakać po stracie glinianego dzbanka?" — dziwiła się bogata dziewczyna, zanurzając z kolei swój złoty. I już miała sierocie tłumaczyć, że nie warto, kiedy powróz ze złotym dzbankiem urwał się — i oto złoty dzban też poszedł na dno.

Zmartwiła się nie na żarty, co tu robić, kiedy nagle widzi, że biedna dziewczyna nie posiada się po prostu z radości. Zaciera ręce, śmieje się, nieledwie tańczy. — "Cóż się tak cieszysz, biedna dziewczyno, że mój złoty dzbanek wpadł do studni?" — Bogata dziewczyna była nie na żarty zgorszona tymi objawami zadowolenia. — "Cieszę się — odpowiedziała biedna dziewczyna — bo wiem teraz, że odzyskam to, co straciłam. Któżby się kwapił wyciągać ze studni gliniany dzban biednej, prostej dziewczyny? Ale po twój złoty pójdą ludzie, choćby to było trudne i niebezpieczne, będą szukać uparcie, aż go znajdą. A przy tej okazji wyciągną także gliniany".

—Pierwszy raz słyszę — powiedział kapelan, zaskoczony. — Bo proszę mi wierzyć, panie pułkowniku — przyciszył głos i dokończył tonem poufnego zwierzenia, jak gdyby ta uwaga przeznaczona była jedynie na użytek opowiadającego — tej historii w Starym Testamencie nigdy dotąd nie przeczytałem. Może jej wcale nie ma?

ALEKSANDER JANTA

POPULARNE LEKARSTWA

BŁAWATEK . . .

Wyciąg z bławatków, to znane collyrium
Na przekrwienie spojówek, z których łza się toczy.
(Niejednemu sam widok polskiego bławatka
Uleczyłby natychmiast przepłakane oczy . . .)

KONWALIA . . .

Wyciąg z konwalii wzmacnia osłabione serce,
Kiedy nierówno bije, waha się, ustaje.
(O, sam widok konwalii mógłby dziś uzdrowić,
— Tej, co w kępach rozkwita pod Bielańskim gajem . . .)

NAPARSTNICA . . .

A gdyby nam tu przyszło z tęsknoty umierać,
Ratunkiem naparstnica, czyli digitalis . . .
(Nie zastrzyków z niej chcemy —
Lecz niech ją ujrzymy
Tam gdzie, zroszona, kwitnie,
W Rodzinnej Oddali . . .)

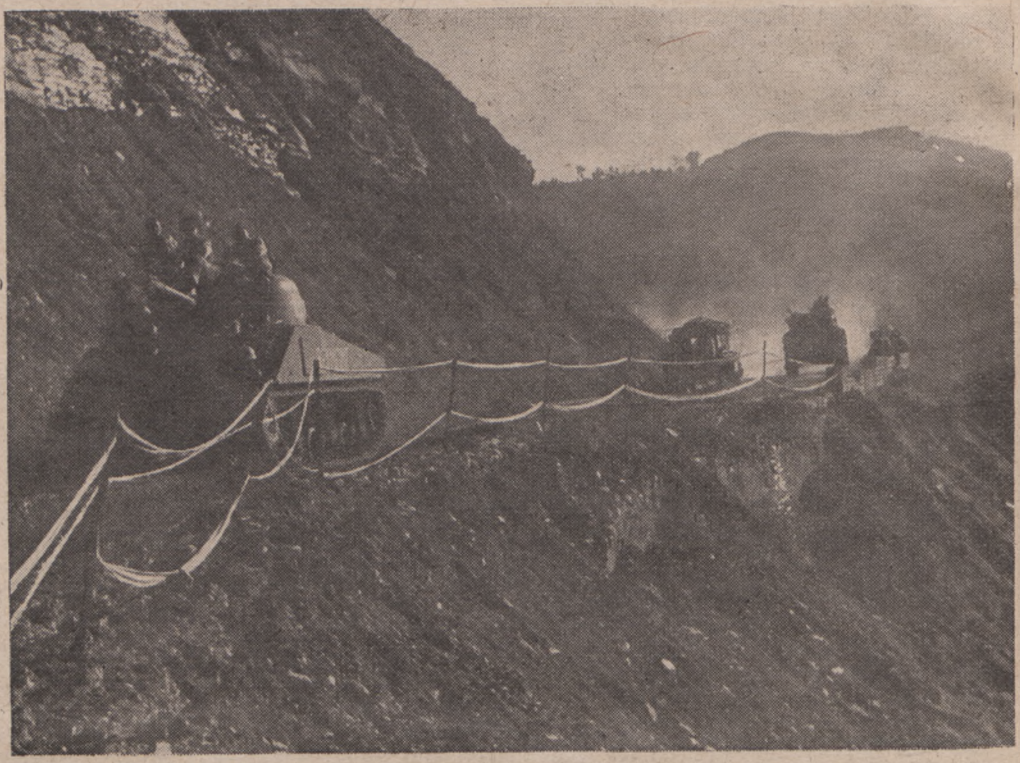
MARIA PAWLIKOWSKA

Korpus Polski w Apeninach

Z terenu obecnych działań Korpusu



Polskie czołgi na zniszczonej drodze w Apeninach



Poruszanie się przez teren gęsto zaminowany



Polscy saperzy budują przeprawę przez wezbraną rzekę



Wóz dowódcy Korpusu na przeprawie



Działa 1 P.A.L. na stanowiskach



Dowódca Dywizji podczas walki o Sant Antonio



Łamanie się opłatkiem na stanowisku bojowym



fot. W. Domański i K. Hrynkiewicz

Na górzystym szlaku

(Korespondencje własne "Polski Walczącej" z Włoch)

Droga przez Apeniny

Kwatera prasowa 2 Korpusu
Włochy, w listopadzie

Ze szczytów, na które weszliśmy ostatnio widać już otwierającą się u stóp dolinę Padu i nizinę Lombardii — rozległą, równą, błękitniejącą lekko w oddaleniu.

Najwyższe szczyty tej części Apenin — rysujące się na pochmurnym, jesiennym niebie falistą, twardą linią fioletowych grzbietów — pozostały za nami. Schodzimy już na nizinę. I doprawdy serdecznie dosyć mamy już tych gór. Razem z całym ich surowym pięknem i jesiennym malarskim pejzażem.

W ciągu tych ostatnich dwu miesięcy, w których Korpus przebijał się w ciężkich walkach przez ich przełęcze i szczyty, robiły wszystko, aby okazać nam brutalną niegościnność a chwilami nawet przybierały wyraźnie wrogą postawę. To było zupełnie tak, jak gdyby weszły w cichy sojusz z nieprzyjacielem, który stworzył na ich grzbietach cały system umocnień i linii obronnych w niezachwianej pewności, że stawia przed napierającymi, wolno wprawdzie ale stale, wojskami 8 armii naturalną tamę, że zatrzyma je tutaj jeszcze przed nadejściem zimy i stworzy im niesłychanie trudny problem dostawy zaopatrzenia po tych karkołomnych, fatalnych i nielicznych zresztą górskich drogach, że wreszcie front z chwilą nadejścia zimy na tym apenińskim odcinku zamarznie, skostnieje, zatrzyma się i tym samym marsz sprzymierzonych w głąb północnych Włoch ulegnie całkowitemu zahamowaniu — przynajmniej do wiosny.

Tymczasem przyszedł Korpus Polski, zmienił zmęczone długimi i wyczerpującymi walkami oddziały Korpusu brytyjskiego, stuknął w Niemców ze znaną im doskonale namiętnością — i cały ich plan oraz związane z nim nadzieje diabli wzięli . . .

Nie tylko bowiem dywizja "Kresowa" przełamała w pierwszej fazie walk linie obronne wzdłuż rzek Bidente i Rabbi, zrzucając Niemców z gór zamykających drogi do Forli od południa, ale ponadto w drugiej fazie "Karpacka", uderzając na północny zachód od szosy nr. 67, zajęła ostatnie, kluczowe szczyty Apenin na przedpolach Faenzy, otwierając tym drogę Korpusowi w dolinę Padu i spychając Niemców z gór w nizinę Lombardii.

I tym razem nie udało się Niemcom. Jakoś nie mają do nas szczęścia. Nad Adriatykiem deptaliśmy im stale po piętach, tutaj wyrzuciliśmy ich z gór, ostatniej naturalnej fortecy, jaka stała przed szeroką płaszczyzną północnych Włoch, zamkniętą dopiero na samym końcu barierą Alp. Schodzimy już na tę płaszczyznę z gór, które były dla nas przez te miesiące prawdziwym piekłem trudów i walk, a które żegnają nas dzisiaj, jak na złość łagodną, pastelową pogodą słonecznych, jesiennych dni . . .

* * *

Weszliśmy w te góry w chmurne dni październikowe. Cały ten nasz ciasny, zamknięty zewsząd wysokimi szczytami apeniński świat był zasłonięty szarą kurtyną ulewnych deszczy. Lało koncertowo, jak na pokaz, jakby to przereklamowane włoskie niebo chciało potokami wody zagasić pożary liści w dolinach o podkarpackim pejzażu. Błoto . . . co tu szukać porównania, nie znajdzie się go przy największych zdolnościach literackich. Żadna Wólka w Beskidach nie sięgała nawet wyobraźnią do gatunku takiego błota. Chodziliśmy w wysokich gumowych butach a wozy nie mogły ruszyć się z miejsca bez łańcuchów na tylnych kołach. Mimo to grzęzły na tych drogach po osie.

Góry, deszcz, błoto i Niemcy — wszystko sprzysięgło się na nas. Ci ostatni robili co tylko leżało w ich mocy, aby życie w tych górach obrzydzić nam do reszty. Nie wymyślili wprawdzie żadnych nowych chwytów, ale wystarczyły pozrywane mosty, szatańsko zaminowane ścieżki i drogi górskie oraz regularne znęcanie się ich ciężkiej artylerii nad jedyną, wąską szosą, jaka łączyła oddziały pierwszej linii z tyłami i wszystkimi bazami zaopatrzenia. A gdy dodać do tego, że na tę drogę waliły się rozsadzane deszczem skały, obsuwała się ziemia, zmywały ją potoki górskie, rozbijające się tysiącem wodospadów o głazy, że z takim nakładem pracy wznoszone Baileye zrywały wezbrane rzeki, to można śmiało powtórzyć za jednym z moich kolegów po piórze, że droga ta prowadziła "nawet dalej niż do piekła . . ."

Ale okazało się, że polscy saperzy potrafią też robić cuda. Ujarzmili zrewolucjonizowaną drogę i zbuntowane rzeki. I poszliśmy dalej do przodu.

Saperom należy się bezsprzecznie osobny rozdział w tej apenińskiej kampanii. Gdybyście mogli widzieć, jak pracowali w tych ulewach na drogach zawieszonych między niebem a przepaściami, na śliskich objazdach, niebezpiecznych brodach, nad szumiącymi wściekle nurtami wezbranych górskich rzek, gdybyście mogli widzieć ich twarze — szare od błota i zmęczenia, widzieć całą ich wspaniałą robotę wśród gniewnego jazgotu automatycznych świdrów, łoskotu żelaznych młotów, huku rozsadzanych skał i pękających pocisków niemieckich . . . To była też walka! I wcale nie łatwiejsza, ani mniej niebezpieczna od tamtej, na linii. Ginęli od pocisków nieprzyjacielskiej artylerii, wylatywali na minach, ale wygrali.

Korespondenci wojenni o tym milczą, komunikaty prasowe przeważnie też. Jest czasem, od święta, jakaś wzmianka, ogólnikowe podkreślenie, łatwy frazes. Ale z pewnością mało kto zainteresował się, dlaczego jeden z mostów na Montone otrzymał wypisaną na niewielkiej tabliczce nazwę "Mostu Dziewięciu Saperów". Kiedy przejeżdżałem tamtędy pierwszy raz, a właściwie kiedy czekałem na wykończenie mostu, żandarm regulujący ruch był wyraźnie zaskoczony moim naiwnym pytaniem.

—Jakto dlaczego tak się nazywa? Nazwali go i już. Jedziesz pan do Rzymu, jest jeden taki długi Bailey, co ma nazwę "Cleopatra Bridge". A dlaczego akurat dziewięciu saperów? Czy ja wiem, pewnie i tylu go budowało — zakończył mało przekonywającym przypuszczeniem.

Z tym mostem to było nieco inaczej. Tych dziewięciu polskich saperów, których imieniem nazwano most, zginęło w czasie jego budowy. Dziś przez ten most przejeżdżają dziennie setki wozów, omijając piekielnie trudny objazd wysokim, urwistym brzegiem rzeki. Ale to kosztowało dziewięć żyć ludzkich. Wysoka, bolesna cena . . .

Wspomniałem o korespondentach. Przyjechało ich kiedyś aż czterech naraz do naszej kwatery prasowej. Amerykanin, Francuz i dwóch Nowozelandczyków. Nie byli jakoś zachwyceni naszą górską rzeczywistością. Objechali odcinek, wrócili, wypili cały zapas *whisky*, jaki schowaliśmy na "czarną godzinę", wyspali się na składanych łóżkach w ponurej włoskiej kuchni, zamienionej na gościnny pokój /najlepszy apartament w *press-campie*/, popatrzyli nazajutrz w zachlapane deszczem niebo i orzekli zgodnie, że są bardzo *"sorry"*, ale muszą już wracać . . .

Potem ściągnął któregoś dnia Melchior Wańkowicz. Momentalnie wypełnił sobą trzy nasze pokoiki, rozniósł je swym rozmachem, humorem i pasją robienia wszystkim najbardziej nieoczekiwanych kawałów. Szyby drżały w oknach rezonansem jego potężnego głosu i wspaniałego śmiechu. Zaraził nas tym śmiechem i żywiołową, jakąś dziecinną wesołością. Nawet niebo nie potrafiło utrzymać jesiennej powagi i uśmiechnęło się wreszcie nieśmiało, ale szczerze. Drzewa zadymiły w bladym słońcu, góry zapłonęły żywym, ciemnym rumieńcem.

Ale to trwało krótko, tylko dwa dni. Trzeciego dnia rano Wańkowicz odkrył przed nami wikingowskim okrzykiem znieruchomiałą w nieoczekiwanej bieli panoramę gór. Spadł śnieg. Wańkowicz przestał się śmiać — zapomniał płaszcza i ciepłej bielizny . . . Na szczęście śnieg stopniał i znowu wróciła jesień. Obsypała doliny złotem i nakryła je niebem, które kiedyś miało ciepły, miękki niebieski kolor a dziś jest spłowiałe, chłodne i jakieś — stare.

W Kwaterze prasowej stukają maszyny, dzwoni telefon, na kominku pękają naśladując artylerię pieczone kasztany, pokaszluje przeziębiony Wacław Sikorski — pan i władca polskiego *press-campu*, przelewa się szeroki śmiech Wańkowicza.

W ogóle Wańkowicz! . . . Można by napisać o nim dwukolumnowy felieton. W *battle-dressie*, z błyszczącymi literkami *"war correspondent"* na naramiennikach, z tęczą baretek na piersi, wygląda jak brytyjski brygadier. Nie zdarzało się, by żołnierze tytułowali go niżej pułkownika. Był nawet wypadek, iż wzięto go za biskupa Gawlinę . . . Dostał ostatnio Krzyż Walecznych za Cassino. Przesiedział całe to piekło w pierwszych liniach i pisze teraz o tym wielką, wspaniałą książkę. "Bitwa o Monte Cassino" ma już dziewięć rozdziałów. Nad dalszymi dziewięcioma jeszcze pracuje. Maszyna wystukuje historię tej bitwy, fotografuje, utrwala, segreguje wszystkie momenty dramatycznych walk na Widmie, San Angelo, 593, górze Klasztornej . . .

Tymczasem jednak toczą się nowe walki, częstokroć równie zażarte i równie dramatyczne, jak wtenczas. I jakże często nasza piechota — zrywając się do natarcia z bagnetem i granatem w ręku na któryś z fanatyzmem bronionych szczytów — przeżywa na nowo, w prawie identycznych warunkach terenowych momenty bitwy o Cassino, przyniesione jakimś wojennym przypływem, powtarzającym wiernie minione zdarzenia . . .

* * *

W którymś z pierwszych dni listopada 1 kompania jednego z baonów "Karpackiej" rozpoczyna o świcie natarcie na Monte Gattone, szczyt, którego uchwycenie daje ogromną przewagę w terenie i wspaniałe możliwości rozwinięcia dalszej akcji.

Świt jest typowo jesienny — pochmurny i mglisty. Jest ciemno, chłodno. Powietrze jest lepkie od wilgoci. Kompania po długim marszu górami z pełnym obciążeniem amunicji jest już porządnie zmachana, kiedy dochodzi do celu natarcia. Z mroku wyrasta wolno milczący szczyt, jakiś dziwnie niesamowity i wrogi w tej absolutnej, niepokojącej, zaczajonej ciszy. Kompania wchodzi wolno, ostrożnie i czujnie na strome zbocze. Każdy krok naprzód jest pełen napięcia i wyczekiwania na coś, co musi się stać, co na pewno się stanie. Góra milczy i rośnie w ciemności pod niewidoczne niebo.

—Dlaczego nie rozpoczynają ognia, myśli dowódca.

Dochodzą właśnie do skarpy, za nią jakieś 70 m. stoku, urywającego się w górze ciemną linią na tle jaśniejszego nieba. I nagle, w chwili gdy chcą przejść skarpę, szczyt wybucha wściekłym, huraganowym ogniem *Spandauów*. Kompania przypada za skarpą. Zaczynają odzywać się nasze karabiny i broń maszynowa. W przecierającej się powoli ciemności rozpalają się pociski świetlne z polskich *Piatów*.

Sytuacja kompanii jest naprawdę poważna. Niemcy są o kilkadziesiąt metrów w górze i gdyby nie skarpa, powystrzelaliby wszystkich jak kaczki. Nie sposób wychylić się czy unieść głowę. *Spandauy* są szybkie i celne. Za każdą serią pryska ziemia i gwiżdżą rykoszety. Nieco z boku praży częstymi strzałami jakiś strzelec wyborowy.

Nagle targa powietrzem kilka krótkich, ostrych detonacji. Niemcy rzucają granaty. Strzelec Wenta zabity . . . granat rozerwał się na jego hełmie . . . obserwator kompanii ciężko ranny . . . kilku innych lżej rannych . . .

Sanitariusze nie mogą nawet ruszyć się z miejsca, by im pomóc, odciągnąć do tyłu. Wtedy to właśnie zastępca dowódcy kompanii nadaje przez radio meldunek: "Sytuacja nasza cięższa, niż na 593 pod Monte Cassino . . ."

Ale nie cofnęli się. Siedzieli pod tą skarpą do nocy, pod nieustannym ogniem nieprzyjaciela, bez możności uzupełnienia amunicji — głodni, zziębnięci, wyczerpani. W nocy Niemcy, okrążeni z boku przez inną kompanię, wycofali się.

W międzyczasie jest jeszcze jeden moment — jakiś zupełnie nieprawdopodobny, filmowy. Florek, kapral i stary wyga z "Legii Cudzoziemskiej" podrywa się nagle zza skarpy, biegnie jakieś 60 m. w dół, defiluje przed całą linią stanowisk niemieckich i przyciąga — nietknięty — aparat telefoniczny, który zostawiono pod skarpą . . . Na wojnie dzieją się różne cuda, którym częstokroć trudno dać wiarę i często bywają takie wypadki, w których nie ma ani cienia brawury czy fanfaronady a jest tylko chłodna, męska odwaga i prosty odruch żołnierskiego obowiązku.

Albo taki patrol ppor. M. z 4 kompanii, na który zasadzili się Niemcy w domku za wzgórzem 488. Patrol — cwaniaki jakich ze świecą szukać — nie tylko nie wpadł w zasadzkę, ale obszedł ją iście po indiańsku, porwał jednego Niemca i przywlókł go do kompanii. Cicho, bez hałasu, bez strzału. Czysta, dobra robota.

To są tylko krótkie, bardzo ułamkowe zresztą migawki i drobne fragmenty z naszych apenińskich bitew. Podobnych obrazków można nakreślić tysiące.

* * *

Trudne i ciężkie były walki w tych górach. Trudna, ciężka i pełna ofiar była ta nasza droga przez łańcuch chmurnych Apenin. Znowu na kilku cichych, otoczonych kamiennymi murami górskich cmentarzykach zostały polskie krzyże. Szumią nad nimi apenińskie klony. Wiatr niesie pożółkłe liście i zasypuje nimi doliny, w których drga jeszcze echo polskich dział. Na szczytach kładzie się smutne niebo późnej włoskiej jesieni . . .

A my schodzimy już z tych szczytów w szeroką, jasną nizinę, na nowe drogi, nad którymi schylają się północne gwiazdy. Idziemy znowu dalej.

I znowu jest bliżej . . .

JANUSZ WEDOW

"Hallo Ludwik, dajcie Ludwika"

Kwatera prasowa 2 Korpusu
w listopadzie 1944 r.

Ilekroć we wspomnieniach przeżywam bitwę pod Cassino, tylekroć słyszę ochrypły od zmęczenia głos kpt. Drelicharza, dowódcy jednego z oddziałów pancernych, jak przez cały dzień 17 maja, a więc dzień, który zadecydował o ostatecznym naszym zwycięstwie, wydaje rozkazy i podaje meldunki o sytuacji na Massa Albanetta. Grupa korespondentów wojennych czekała wtedy chwili, gdy będzie można wyruszyć do klasztoru i "obserwowała" przebieg bitwy w m.p. Dtwa Karpackiej przy głośniku radiowym, włączonym w fale, po których płynął głos kpt. Drelicharza.

Jego całodzienny meldunek najlepiej oddawał ogrom walki, uprzytamniał nam jej wszystkie trudności i poświęcenie jej uczestników. Na pewno nigdy nie zapomnimy jednej chwili, gdy kapitan dowiedział się, że ma na noc wycofać swe czołgi, błagał przełożonych o odwołanie tego rozkazu i dobrze będziemy pamiętać z jaką radością przyjął wiadomość, że uwzględniono jego prośbę. Później z drżeniem serca razem z nim czekaliśmy na idące mu z pomocą czołgi por. Bortnowskiego, który następnego dnia zostawił swe życie na stokach Monte Cassino.

Kpt. Władysław Drelicharz, ranny w ostatniej fazie walki o Monte Cassino, szybko powrócił do walczących szeregów, mając teraz na piersi obok Krzyża Walecznych, który otrzymał w czasie walk pod Tobrukiem, Order Virtuti Militari V klasy. Oddział pancerny, w którym się znajdował, brał udział we wszystkich walkach 2 Korpusu we Włoszech. W bitwie o Anconę kpt. Drelicharz otrzymał po raz drugi Krzyż Walecznych, później okrył się wraz z całym oddziałem nową sławą w bitwie o Cesano, Metauro, pod Il Vicinato, przy pierwszym forsowaniu linii Gotów.

Kiedy 2 Korpus z odcinka adriatyckiego został przeniesiony między stoki Apenin, czołgi polskie nie ulękły się kilkusetmetrowej wysokości szczytów i ogniem swych dział zionęły na ukrytych w granitowych bunkrach Niemców.

20 listopada czołgi stanęły w górach na południe od Faenza między szosą Florencja-Forli a rzeką Samoggia, aby wspierać natarcie piechoty, które miało wyrzucić Niemców z ostatnich gór i zepchnąć ich ostatecznie w dolinę Lombardii.

Natarcie rozpoczęło się o godz. 4-ej rano. Przy akompaniamencie dział i warkocie bombardujących niemieckie cele samolotów, nadchodziły meldunki o zajmowaniu coraz to nowych przedmiotów natarcia. Zdobyto Fattoria, Monte Fortino i wiele innych wzgórz.

Tuż przy szosie wśród ruin zniszczonej wsi stał kościółek, z którego podziemi Niemcy bronili twardo swych stanowisk. Uprzejmy porucznik z oddziału pancernego, który dziś znów bierze udział w walce, powiedział do mnie:

—"Może chce Pan posłuchać przebiegu akcji z walki o ten kościółek. Jest tam właśnie kpt. Drelicharz".

Była to godz. 9-a rano. Mocny głos kpt. Drelicharza wydawał rozkazy:

—"Tam na dole siedzą jeszcze Szwabi. Musimy ich natychmiast stamtąd wykurzyć. Podjeżdżamy . . ."

—"Dawajcie amunicję. Wypaliliśmy 300 pocisków. Szwabów nie ma. Uciekają, aż się kurzy. Kilkunastu ma w niewoli nasza piechota. Zaraz ich do was przyślemy".

Czołgi ruszają na Collino. O godz. 10.30 słychać znów głos kpt. Drelicharza.

—"Piechota doszła do Collino. Domek na górze zajęty jest przez naszych, ale na dole jeszcze siedzą Niemcy. Piechota prosi o ogień. Jedziemy do nich. Musimy się śpieszyć. Walą na nas z boku z ppanc." . . .

—"Niemcy siedzą na ufortyfikowanym wzgórzu Castellacio, które od zachodu przytyka do naszego rejonu walki. Z tamtego kierunku prawdopodobnie padł pocisk, który spalił nam już rano jeden czołg".

Około godz. 11-ej kpt. Drelicharz melduje posuwanie się na Collino i prosi o amunicję. Na nasz punkt napływają tymczasem nowe ilości jeńców, na ogół młodych chłopców, którzy tępym wzrokiem patrzą dokoła siebie.

Tuż przed godz. 11.30 coś zaskrzypiało w słuchawkach. Radiotelegrafista woła coraz głośniej: — "Hallo Ludwik, dajcie Ludwika".

—Nie ma łączności z kpt. Drelicharzem — melduje pułkownikowi.

Przez dziesięć minut szuka się w falach eteru Ludwika. Przy wozie radiowym panuje śmiertelna cisza. W środku stoi ze słuchawkami na uszach dowódca pułku ppłk. D., obok ppłk. O., oficerowie, szeregowi — wszyscy wsłuchani w głośnik.

O godz. 11.30 łączność jest przywrócona. Ale już nie z czołgiem kpt. Drelicharza. Jego czołg i drugi, za nim idący, są spalone od pocisku z niemieckiego ppanc. Nie żyje kpt. Władysław Drelicharz, obie załogi ciężko poparzone.

Ale natarcie trwa dalej. Wieczorem tego dnia linia frontu przesunęła się o kilka kilometrów dalej na północ od miejsca, w którym w walce za Polskę złożył swe młode życie jeden z najzdolniejszych i najodważniejszych oficerów naszej broni pancernej.

RYSZARD MOSSIN

"B" jak Bolesław

Opowiadanie poniższe jest prawdziwe. Zmieniono w nim tylko niektóre drobne szczegóły, nazwy miejscowości i imiona osób, ponieważ wymagały tego warunki utrzymania tajemnicy wojskowej.

Na krótko przed wybuchem powstania w Warszawie zaszła potrzeba wywiezienia z Polski, spod okupacji niemieckiej, kilku osób, które zajmowały tam ważne stanowiska w ruchu podziemnym. Osoby te są obecnie w W. Brytanii, w charakterze wysłanników Kraju do Rządu Rzeczypospolitej. Ich obecność świadczy o najściślejszej łączności, jaka istnieje pomiędzy Narodem Polskim, a jego prawowitym rządem; o tym, że ten rząd ma za sobą poparcie olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego; że ma prawo w imieniu Narodu Polskiego przemawiać na arenie politycznej tak długo, póki Polska nie zostanie uwolniona spod jakiejkolwiek przemocy; póki naród nie będzie mógł w swobodnych wyborach do ciał ustawodawczych wypowiedzieć się za takim, czy innym ustrojem, za takim, czy innym składem nowego rządu. Dlatego przybycie z Polski tych osób było konieczne, pomimo największego nawet ryzyka, jakie musiało towarzyszyć ich wyjazdowi. Pomimo czujności Gestapo, mimo pięciu lat okupacji, mimo dwustu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy niemieckich, którzy mieli utrzymać w Polsce "niemiecki porządek".

Sprawę transportu w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu powierzono polskiemu dywizjonowi do zadań specjalnych. Sprawę przygotowania lądowiska i jego osłony — oddziałom Armii Krajowej.

"Dywizjon do zadań specjalnych" . . . Do niedawna ścisła tajemnica okrywała jego istnienie, działania, typ samolotów, nawet nazwę kraju, w którym położone było jego lotnisko. Nie wiadomo było także nic o załogach tego dywizjonu. O najlepszych bodaj, najbardziej doświadczonych załogach polskich, które latały na dalekie, zawsze ryzykowne, zawsze bardzo trudne wyprawy; na "zadania specjalne" . . . Dziś można już ujawnić, że dywizjon latał kolejno z Wielkiej Brytanii, z Tunisu a wreszcie z Włoch — nad Polskę, nad Francję, nad Jugosławię; że celem tych lotów było dostarczanie broni, amunicji, leków, sprzętu armiom podziemnym, które walczyły przeciw Niemcom; że wreszcie po wybuchu powstania w Warszawie ten dywizjon, wspólnie z podobnymi dywizjonami brytyjskimi i amerykańskimi, latał nad stolicę Polski, by jej obrońcom zrzucać zaopatrzenie.

Wyprawa, o której chcę opowiedzieć, dotyczy tylko jednej załogi tego dywizjonu. Załogi, która otrzymała rozkaz: "Dolecieć, wylądować, zabrać wysłanników Polski Podziemnej, i p o w r ó c i ć !"

* * *

"Liberator B" jak Bolesław wystartował z lotniska we Włoszech o godzinie dwudziestej pierwszej. Przeleciał nad Adriatykiem i przebiwszy się przez grubą warstwę chmur ponad Dalmacją, minął granicę Węgier. Nad Słowacją i południowymi stokami Karpat przeciął strefę gwałtownych burz elektrycznych, i około pierwszej po północy znajdował się nad południowo-zachodnią Polską, niezauważony dotąd przez niemieckie posterunki podsłuchowe.

Tymczasem oddziały Armii Krajowej zgrupowały się dokoła obranego zawczasu lądowiska, opanowały posterunki i małe garnizony niemieckie w najbliższej okolicy i umocniły się prowizorycznie na zajętych stanowiskach obronnych. Odwód sił polskich stanął na samym lądowisku, o niecały kilometr od wsi Groble. Mały oddział łączności z radiostacją polową i obsługą lądowiska zajął na pół spaloną chatę pod lasem u skraju pola, z którego już uprzątnięto zboże.

Do tej chwili udało się zachować wszystkie przygotowania w tajemnicy. Dopiero na krótko przed przybyciem delegatów, którzy mieli odlecieć na pokładzie polskiego "Liberatora", Niemcy zauważyli, że wszystkie ich połączenia telefoniczne w okolicy zostały przecięte. Radiostacja polska przejęła kilka depesz i rozkazów do opanowanych przez Armię Krajową posterunków żandarmerii niemieckiej, oraz rozmowy z odleglejszymi garnizonami. Niemcy byli zaniepokojeni. Lada chwila należało oczekiwać alarmu. Napięcie wzrosło jeszcze, gdy przybyli delegaci: teraz każda minuta opóźnienia w lądowaniu samolotu mogła zniweczyć cały plan . . .

"Liberator B" jak Bolesław nie zgłaszał się. Załoga mogła zabłądzić: pułap chmur był niski, padał deszcz, a lądowisko oczywiście nie miało oświetlenia, poza kilku lampami stajennymi i ogniskami, które miały być zapalone dopiero w chwili lądowania. Nie można było również próbować nawiązania łączności przez radio z ziemi. Ściągnęłoby to przedwcześnie wszystkie oddziały niemieckie w tę stronę; zdradziłoby Niemcom, o co chodzi i gdzie mają uderzać. Łączność musieli nawiązać lotnicy. Nawigator sam musiał odnaleźć lądowisko wśród ciemnej nocy . . .

Odnalazł je. Na ustalonej długości fali odezwał się w słuchawkach jego sygnał wywoławczy:

—"B" jak Bolesław, "B" jak Bolesław. Hallo, dwa, cztery, siedem. Halloś dwa, cztery, siedem!

Prawie jednocześnie rozległ się bliski, szybko nabrzmiewający warkot silników. Maszyna z zapalonymi światłami pozycyjnymi wypadła zza lasu i gnała skośnie ponad ścierniskiem.

—Lecą!!!

Radiotelegrafista już nadawał odpowiedź:

—Hallo, Bolesław, hallo, Bolesław. Tu dwa, cztery, siedem. Dwa — cztery — siedem! Przelecieliście nad lądowiskiem. Zawróćcie i lądujcie według świateł, które zapalamy, dokładnie na kursie 180 stopni . . . Hallo, Bolesław, hallo Bolesław . . .

—O.K., dwa, cztery, siedem, O.K. — zawracamy!

Od strony wsi Groble zaczęły płynąć dwa światełka: zielone i czerwone — nisko, coraz niżej nad ziemią. Na ściernisku błysnęły ogniska i rząd lamp po środku pola. Skrzydlaty cień, czarniejszy od nocy, zniżał się wzdłuż lasu, na lewo od świateł. Dotknął ziemi, zarzuciło go w lewo, w prawo! . . . Wrzasnęły hamulce, drgnęły światła, bluznęły jęzory płomieni z silników. Potoczył się, wykręcił, mieląc śmigłami — — stanął.

Ktoś wyskoczył na ziemię, przyklęknął. Ktoś podbiegł, zawołał. Dłonie zwarły się w mocnym uścisku. I — "Prędko! Wielki czas: musicie natychmiast lecieć!" . . .

B y ł wielki czas: odbiornik radiostacji grzmiał rozkazami niemieckimi.

—Alarm! Alarm!! Alarm!!!

—Nieprzyjacielski samolot w rejonie Groble-Rudawa!

—Wszystkie oddziały pogotowia w kierunku na Groble!

Motocykliści, żandarmeria, Gestapo, SS, policja . . . Wszystkimi drogami, ze wszystkich stron, na łeb na szyję! Prędko, prędko, bo uciekną!!

Zaczyna się wyścig. Wyścig o wielką stawkę, przewyższającą wszystkie dotychczasowe. Samolot m u s i wrócić. Wysłannicy Polski Podziemnej muszą odlecieć. Ale . . . Jakkolwiek bez bomb, z połową zapasu paliwa, "Liberator" waży kilka ton. Koła grzęzną w rozmokłej ziemi. Nie sposób przekołować maszynę na skraj lądowiska: stanie na łbie, a nie ruszy. Na próżno warczą, wyją silniki . . .

Na asfaltowych *runway'ach* lotnisk brytyjskich przetacza się samoloty bombowe przy użyciu ciągników. Tu trzeba użyć sił ludzkich. Może — nadludzkich . . . Niemal cały odwód osłony wyciąga — nie: przenosi na własnych barkach maszynę. Czy zdążą? . . .

Oddział Papiernia — w walce z przeważającymi siłami niemieckimi ma rannych i zabitych. Samochody pancerne SS zatrzymane przed rzeczką Rudawą: most drogowy wyleciał tam w powietrze. Motocykliści na drodze leśnej u skrętu szosy natknęli się na ogień polskich karabinów maszynowych, ale część zjechała w las i oskrzydla grupę Szaniec, która żąda natychmiastowych posiłków . . .

Wtem blisko, od południa zagrały serie broni maszynowej. Tam trzeba rzucić świeży pluton z odwodu.

—Za wszelką cenę utrzymać te stanowiska! — pada rozkaz. — Z a w s z e l k ą c e n ę!!

Pilot przemierzył pieszo linię startu. Jest krótka, ale tu nieco suszej i twardziej, niż tam, gdzie lądował. Na końcu, przed kotliną zarośniętą krzakami i młodą brzeziną, ustawiono lampę stajenną: sygnał, że dalej jest już tylko śmierć dla samolotu, jeśli się w czas nie oderwie od ziemi . . .

Ostatnie zarządzenia dla załogi:

—Jeżeli się rozwalimy przy starcie, najpierw ratować pasażerów.

Start. "Liberator" niechętnie rusza z miejsca na pełnym gazie, zarzuca raz w lewo, raz w prawo, gdy koła orzą zbyt głębokie bruzdy w ściernisku, ale nabiera pędu. Toczy się, przysiada, dobija, podrywa się, szarpie, wyłamuje, i brutalnie podcięty zwrotem steru wraca na prostą . . . Pędzi coraz szybciej. Coraz gwałtowniej łomoce amortyzatorami, coraz boleśniej drga, jęczy, dudni. Zdaje się pękać w spojeniach, trzeszczeć i łamać się na tej nierównej, grząskiej drodze rozbiegu, która więzi jego teleskopowe podwozie. Cięży w sterach, zwisa, nie starcza mu pędu, aby się dźwignąć, i znów się odsadza, znów drży i gna przed siebie. Prędzej, prędzej! Prędzej!! Na miłość Boską prędzej!!! Światło u skraju lądowiska zbliża się, leci na spotkanie! Rośnie! Jest tuż!! . . .

Trzask gałęzi, które smagnęły podwozie! Ale samolot leci!!! Leci!!! Płynie w powietrzu, wznosi się i gra pełną mocą silników. Leci!

—Uff! — mówi pilot. — Jeszcze takiego startu nie miałem. Wciągnij podwozie, Wiktor.

—Kurs 210, panie kapitanie — odzywa się w słuchawkach głos nawigatora.

Kurs 210 — do Włoch. Znów 750 mil w deszczach, w chmurach, aż do Adriatyku. Znów cztery godziny lotu . . .

Ale myśli załogi nie płyną ku lotnisku. Z chwilą gdy minęło napięcie, gdy "Liberator" wyszedł w powietrze, aby odlecieć z Polski, myśli tych ludzi tam właśnie pozostały. W warkocie silników grzmią jeszcze strzały i słychać melodię, dziwną melodię twardej, nieustępliwej pieśni, jak twarda jest walka Armii Krajowej . . .

PORUCZNIK HERBERT

Kartki z pamiętnika korespondenta wojennego

Gdy podjeżdżaliśmy do Metzu wzrok mój padł na przewrócony, leżący w błocie drogowskaz z napisem: *Saarbruecken-Danzig*. Dziwna rzecz — myślę sobie. Czyżby Niemcy już stąd znaczyli drogę do Gdańska. Schodzę z *jeep'u* i oglądam napis dokładniej. Omyliłem się o jedną literę. To nie: *Danzig*, tylko: *Nanzig*. Cóż to za miasto, nigdy o nim nie słyszałem. Zapytuję stojącego obok robotnika francuskiego, gdzie ono leży. Robotnik uśmiecha się: — "Pan nie wiedział, że Niemcy tak nazwali Nancy? *Quels cretins*!"

Rzeczywiście, co za idioci! Im się naprawdę zdawało, że dość zmienić nazwę starego miasta francuskiego, by zrobić z niego miasto niemieckie.

Wkrótce mogłem się przekonać, jak trwałe są te nazwy, obliczone na tysiąc hitlerowskich lat. Gdy wkraczaliśmy do Metzu, nie było tam ani jednego napisu francuskiego. Ulice — *Hitlerstrasse, Goeringstrasse, Hindenburgplatz* i t.d. Domy pstrzyły się od paskudnych niemieckich szyldów. Na każdym kroku raził oko jakiś *Verein, Stelle* czy *Bund*. A po kilku dniach, gdy walki ustały, ukazał się prawdziwy Metz. W jednej chwili ludność strząsnęła z siebie zewnętrzne oznaki niewoli. Nie pozostało ani śladu niemczyzny.

Pewiem jestem, że Niemcy łamali już sobie głowy nad tym, jak nazwać Paryż. W ich nadętych pychą mózgach nie mieści się myśl, że zdobyte miasto może utrzymać swój charakter, i w ogóle, że zwyciężony naród może istnieć. Nie tylko od czasów Hitlera. Czytałem kiedyś, że po wojnie prusko-francuskiej w r. 1870, studenci niemieccy śpiewali piosenkę, zaczynającą się od słów:

"O Paris, wie traurig ist dein Finis, Ignis, lapis, pulvis, cinis".

Minęło siedemdziesiąt pięć lat. Paryż przetrwał trzy burze wojenne. A widziałem niedawno miasta niemieckie, do których trafniej można byłoby zastosować te łacińskie słowa — spalone, spopielone, nie pozostał tam kamień na kamieniu.

Robotnik francuski miał rację. Pomijając już wszystkie inne ich wady i grzechy, co za idioci! Czyż potrzebne jest bardziej dobitne potwierdzenie wiecznej prawdy, że siła brutalna, choćby uwieńczona największymi sukcesami, odbiera rozum.

* * *

Trzy naczelne hasła Francji dzisiejszej to: *liberation, epuration, renaissance* — wyzwolenie, oczyszczenie, odrodzenie. Pierwsze przestaje już być aktualne. Z wyjątkiem kawałka Alzacji i kilku portów, nieprzyjaciel został wypędzony z granic Francji. Jej własne wojska dzielnie pomagają w tym aliantom, stoją już na granicy Szwajcarii, dotarły do południowego Renu.

"Czystka" odbywa się systematycznie, a potrwa ona jeszcze długo, bo usunięcie tych wszystkich najróżniejszych elementów, które przez cztery lata okupacji w ten czy inny sposób wysługiwały się Niemcom, nie należy do rzeczy łatwych i nie może być dokonane za jednym zamachem. Specjalne trybunały mają do czynienia jedynie z "kolaboracjonistami" najgorszego typu, funkcjonariuszami Gestapo, donosicielami patriotów, szerzycielami zarazy hitlerowskiej. Spotyka ich zasłużona kara. Niemal codziennie zapadają wyroki śmierci lub ciężkiego więzienia. Procesy te odsłaniają przed szeroką publicznością całą ohydę moralną wyrzutków społeczeństwa, których okupanci i rząd Vichy dobrali sobie za współpracowników. Jednocześnie liczne komitety *Resistance* badają sprawy innego rodzaju kolaboracjonistów, ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach w przemyśle, handlu, w zawodach wyzwolonych, w związkach robotniczych, w świecie literackim, artystycznym i dziennikarskim, nie mówiąc już o administracji państwowej, usuwając ich z organizacyj społecznych i urzędów.

Francja, która na przestrzeni wieków wykazała niezwykłą odporność na skutki klęsk i wstrząsów, szybko się odradza. Jeżdżąc po tym kraju, można wszędzie stwierdzić stopniowy powrót do normalnych stosunków. Od czasu, kiedy tu przyjechałem, niespełna dwa miesiące temu, zaszły wielkie zmiany. Rząd de Gaulle'a opanował już przez swych regionalnych komisarzy sytuację na prowincji. Gdyby nie trudności transportowe, proces przywracania normalnego życia odbywałby się jeszcze szybciej. Ale nawet w tych wyjątkowo ciężkich warunkach postępuje on naprzód.

Paryż znowu tętni życiem. Tłumy na ulicach, ruch przedświąteczny, sklepy, kina, teatry, wystawy przepełnione. Ludzie mają pogodniejsze twarze. Jest jakiś świeży, orzeźwiający powiew w powietrzu, mimo rygorów wojennych i braku wielu przedmiotów pierwszej potrzeby. To cud wolności, który trudno zrozumieć i odczuć ludziom, nie mającym poza sobą czterech lat niewoli.

* * *

Nie zapominajmy o tym, że nowa Francja ma przed sobą zadania niezmiernie trudne. W czerwcu roku 1940 spadła na nią nie tylko klęska wojskowa. Załamał się cały system życia politycznego i społecznego, dorobek siedemdziesięciu lat Trzeciej Republiki z jej parlamentem, stronnictwami, przewódcami o głośnych nazwiskach, popularna prasa i t.d. Pustkę, jaka powstała, starają się wypełnić nowi ludzie, nieznani, przeważnie młodzi, bez doświadczenia, którzy podczas okupacji byli znikomą mniejszością, drobną garstką bojowników frontu podziemnego wśród apatycznych, zwątpiałych mas.

Ci właśnie ludzie z *Resistance*, a reprezentują oni różne warstwy i różne poglądy polityczne, mają dzisiaj niewątpliwie za sobą większość społeczeństwa. Jakie będzie oblicze nowej Francji — trudno przewidzieć. Przechodzi ona obecnie stan fermentu o wysokiej temperaturze i radykalnym napięciu. Zresztą jej przyszłe przemiany wewnętrzne będą w dużym stopniu zależne od tego, jak ukształtują się warunki w całej Europie.

* * *

Dzieje francuskiej *Resistance* znane są światu. O wiele mniej wie szeroka publiczność o roli, jaką odegrali Polacy na terenie Francji w walce o jej wyzwolenie. Nawet sami Francuzi mało o tym wiedzą. Słyszeli oni o wojsku, lotnictwie i marynarce polskiej, które od pierwszej chwili inwazji walczą w sprzymierzonych siłach zbrojnych, niosąc im wolność. Dziś za wcześnie jest jeszcze ze zrozumiałych przyczyn na ujawnienie szczegółów tej śmiałej, ofiarnej i doskonale zorganizowanej akcji, jaką Polacy samodzielnie prowadzili na francuskim froncie podziemnym w ciągu czterech lat okupacji, nie mówiąc już o licznym udziale ich we francuskich związkach czynnego oporu, w bojówkach t.zw. *Maquis*.

Ale bardziej wtajemniczeni Francuzi wiedzą dobrze, jak natężona, rozległa i skuteczna była działalność P.O.W.N. /Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość/, rozpoczęta już w r. 1941, o rok wcześniej, niż pierwsza zorganizowana akcja francuskiej *Resistance*. Nie jest to rzeczą przypadku. Spotykałem już wówczas Francuzów w Londynie, którzy z wielkim uznaniem odzywali się o pracy konspiracyjnej Polaków, jako najlepszych specjalistów. Wnieśli oni do niej nie tylko zapał, lecz i doświadczenie.

P.O.W.N. szybko rozrastała się, obejmując wszystkie rodzaje działań na tyłach nieprzyjaciela, od sabotażu do akcji dywersyjnej na wiekszą skalę, zwłaszcza na południu Francji. W momencie inwazji reprezentowała ona już poważną, zdyscyplinowaną siłę wojskową, która obok francuskiej *Resistance*, wzięła czynny udział w ostatnich etapach walk o wyzwolenie Francji. Nie obeszło się to bez ciężkich ofiar. Wielu Polaków zginęło w tej akcji, innych zamęczono torturami w Gestapo, wielu wywieziono do Niemiec.

Jak wspomniałem, nie można jeszcze dzisiaj faktów tych szczegółowo ogłaszać. Stanowią one bardzo piękną kartę w dziejach walk polskich podczas tej wojny i znajdą swego historyka.

FLORIAN SOKOŁÓW

ś. p.

rtm. TADEUSZ DUDZIŃSKI
w dniu . . . VIII.44 r. pod Cramesnill.
rtm. WŁODZIMIERZ MINCER
w dniu . . . VIII.44 r. pod Chambois.
rtm. STEFAN BURY
w dniu . . . IX.44 r. nad Sommą.
rtm. WACŁAW KOWNAS
w dniu . . . X.44 r. pod Hulst.
por. WACŁAW SZCZENIOWSKI
w dniu . . . X.44 r. pod Alphen.
ppor. ERNEST NIEWIEM
w dniu . . . X.44 r. pod Filburg.
ppor. WŁADYSŁAW SAKIEWICZ
zmarł z odniesionych ran
ppor. JÓZEF KACZMARCZYK
w dniu . . . IX.44 r. nad kanałem Axel.
ppor. WŁADYSŁAW KŁOPŁOCZ
w dniu . . . XI.44 r. pod Denhout.
ppor. WACŁAW DEBICKI
w dniu . . . IX.44 r. pod Gandawą.
zginęli w walkach 1 Dywizji Pancernej.
Cześć Ich Pamięci.
Dowódca, Oficerowie i Szeregowi
. . . Pułku Dragonów.

Sprawy polskie w książkach angielskich

O "KRZYWDZIE" NIEMIEC W WERSALU

Sir Victor Wellesley, zastępca brytyjskiego podsekretarza stanu do spraw zagranicznych w latach 1925 — 1936, ogłosił książkę "Dyplomacja w okowach"*, która wymownie świadczy, że mit o "dobrych Niemcach" dziś — w szóstym roku najpotworniejszej z wojen, przez Niemcy wywołanych — nie wygasł jeszcze w wyobraźni pewnych Anglików. Ten nieuleczalny germanofilizm autora ujawnia się zarówno w zakresie duchowym, gdy mówi on o pięknie muzyki Bacha i Beethovena, o poezji Goethego i Schillera, o sztuce Holbeina i Dürera, jak w zakresie politycznym, gdy rozważa postanowienia traktatu wersalskiego.

Wellesley podnosi, że wprawdzie powrót Alzacji i Lotaryngii do Francji był nieunikniony /"*foregone conclusion*"/, ale nieomieszka zaraz dodać, że oznaczało to poprowadzenie granicy przez terytorium, które od r. 1871 stało się "największym okręgiem przemysłowym Niemiec". "Skrupuły /*misgivings*/" Wellesleya występują w całej pełni kiedy zaczyna roztrząsać powersalskie wschodnie granice Rzeszy.

Jeśli idzie o "korytarz", trudno powiedzieć, czyje roszczenia /"*claims*"/ są słuszniejsze. Od setek lat był on kością niezgody pomiędzy Słowianami a Teutonami. Chłopi są Słowianami, właściciele ziemscy — Teutonami. Polacy posiadali tę dzielnicę przez lat trzysta, Niemcy — przez ostatnich lat sto pięćdziesiąt. Z punktu widzenia historycznego roszczenia polskie były oparte na mocniejszym fundamencie, ale argumenty historyczne — dodaje zaraz Wellesley — często są zawodne. Na podstawie argumentów historycznych Anglicy mogliby n.p. zażądać Calais.

W tego rodzaju wypadkach, sprawdzian rozstrzygający stanowić powinna nie historia, ale współczesne warunki polityczne i gospodarcze. Otóż należy stwierdzić, że wprawdzie "korytarz" pod względem ludnościowym był w sumie bardziej polski niż niemiecki, gospodarczo stanowił konieczną część systemu niemieckiego i prócz tego wiązał Prusy Zachodnie ze Wschodnimi. Ale — dodaje z przekąsem Wellesley — twórcy pokoju /"*peacemakers*"/ musieli dotrzymać przyrzeczeń Polsce, bez względu na to czy przyczyniały się one do utrwalenia pokoju /"*whether these /the promises/ were conducive to peace or not*"/.

Prusy Wschodnie oddzielone były od Niemiec także w XVIII wieku, ale w wieku XX "stworzyło to sytuację geograficzną, która napawała goryczą i była nie do zniesienia dla każdego patriotycznego Niemca, podobnie jak obcy korytarz poprzez Anglię od Liverpoolu do Hull musiałby wywołać oburzenie każdego Brytyjczyka". W interesie pokoju należało znaleźć inne wyjście i zapewnić Polsce dostęp do morza drogą tranzytową, pod gwarancją Ligi Narodów.

Nieoceniony Wellesley podnosi dalej, że podział Śląska uznali Niemcy za jedną z najcięższych z wyrządzonych im krzywd, i pisze: "Obszary te nigdy nie należały do Polski. Od niepamiętnych czasów były zamieszkiwane przez Niemców a przedwojenne granice sięgały r. 1136. Z wyjątkiem granicy francusko-hiszpańskiej były to najstarsze granice w Europie". "Przedsiębiorczość, kapitał i umiejętność niemiecka" uczyniły ze Śląska drugi najważniejszy okręg przemysłowy Rzeszy. Tu Wellesley niemal rozdziera szaty, przytaczając odpowiedź sprzymierzonych udzieloną Niemcom, że oddanie Śląska Polsce znajduje się w całkowitej zgodzie z punktami Wilsona, ponieważ ludność tamtejsza jest w przeważnej części polska. Interwencja Lloyd George'a spowodowała plebiscyt. Wellesley uważa, że przeprowadzono go nieuczciwie /używa wyrażenia "*gerrymander*" od nazwiska słynnego gubernatora stanu Massachusetts, Gerry Elbridge'a, który w r. 1812, przez umiejętny podział stanu na okręgi wyborcze, zapewnił zwycięstwo swojej partii/, mimo to Niemcy zdobyli 60% głosów, "fakt, który trudno pogodzić z twierdzeniem Sprzymierzonych". Nowe granice — boleje Wellesley — zniszczyły jedność gospodarczą Śląska i wprowadziły zamieszanie do życia jego mieszkańców.

W sprawie Poznańskiego Wellesley łaskawie nie zgłasza sprzeciwu, ponieważ same Niemcy gotowe były zrzec się tej dzielnicy o ludności bezsprzecznie polskiej.

* *Diplomacy in Fetters, by Sir Victor Wellesley, K.C.M.G., C.B., Late Deputy Under-Secretary of State for Foreign Affairs. Londyn, Hutchinson,* /1944/; *str.* 224.

"OBROTOWA" KARTA ATLANTYCKA

Autor książki p.t. "Karty pokoju"*, W. Arnold-Forster, podejmuje beznadziejne zadanie pogodzenia pięknego manifestu ideowego, jakim była Karta Atlantycka, z polityką przemocy, jaką uprawiają wielkie mocarstwa. Mamy tu — gdy mowa o Rosji — ciągłe powoływanie się na ten czy inny artykuł Karty a jednocześne usprawiedliwianie względami praktycznymi tego czy innego zaboru.

Tak n.p. p. Arnold-Forster z naciskiem podnosi, że Wielka Brytania ma obowiązki wobec państw bałtyckich, że kilkakrotnie stwierdziła, iż nie uznaje żadnych zmian granicznych, dokonanych po r. 1939, że zarówno Karta Atlantycka jak sojusz brytyjsko-sowiecki zastrzegają się przeciwko nabytkom terytorialnym, i t.d., ale zaraz dodaje, że względy strategiczne nakazują Stalinowi zabezpieczenie tego tak żywotnego dla Rosji szlaku, że pobliże Leningradu musi znajdować się w pewnych rękach, że włączenie do Związku sowieckiego przyczyni się do postępu w państwach bałtyckich i t.d.

Mówiąc o roszczeniach rosyjskich do wschodniej Polski, p. Arnold-Forster całkowicie zapomina o Karcie Atlantyckiej, godząc się na fakty dokonane, natomiast gdy chodzi o możliwość kompensat dla Polski na zachodzie, Karta Atlantycka znowu występuje w całej okazałości.

Książka wyszła jeszcze przed oświadczeniem Churchilla z dn. 15 grudnia 1944 r. w sprawie Prus Wschodnich, ale już ogólnikowe oświadczenie premiera brytyjskiego z dn. 22 lutego ub.r. spowodowało niepokój autora. Podkreśla on, że z tekstu Karty Atlantyckiej nie wynika, iż nie stosuje się ona do narodów nieprzyjacielskich. Jeśli tak, także w stosunku do Niemiec obowiązuje artykuł o "swobodnie wypowiedzianej woli ludności". A przecież terytoria, które ma otrzymać Polska w drodze kompensaty, są — poza wszelką dyskusją — niemieckie. Odłączenie ich od Rzeszy byłoby nie tylko sprzeczne z Kartą Atlantycką, ale również niebezpieczne dla samej Polski, nadto stanowiłoby zarzewie nowej wojny. Wprawdzie krzywdy, doznane przez Polaków od Niemców, są bezmierne, ale nie uczyni to ich sprawniejszymi w rządzeniu ludnością niemiecką. Wprawdzie Polacy zostali bezlitośnie wysiedleni przez Niemców z Polski zachodniej, przy czym miliony skazano na zagładę, wprawdzie znaczna ilość Polaków została wysiedlona przez Rosjan z Polski wschodniej, ale nie usprawiedliwia to wyrzucania Niemców z Prus Wschodnich. Słowem, za linią Curzona nie wolno gwałcić prawa narodów.

W świetnej komedii Antoniego Słonimskiego "Rodzina" była mowa o Polsce jako o przedmurzu "obrotowym": raz od wschodu, drugi raz od zachodu. Zdaje się, że Karta Atlantycka ma odgrywać podobną rolę.

* *Charters of the Peace. A Commentary on the Atlantic Charter and the Declarations of Moscow, Cairo and Teheran, by W. Arnold-Forster. Londyn, Victor Gollancz,* 1944; *str.* 138.

O POLAKACH NA FRONCIE I W ESKORCIE

Znakomity korespondent wojenny "*Daily Express'u*", Alan Moorehead, opowiada w swojej "Trylogii afrykańskiej"*, obejmującej trzy poprzednio wydane tomy wrażeń z Bliskiego Wschodu i z Afryki Północnej, o dwóch spotkaniach z Polakami.

Moorehead widział Polaków na linii Gazali w grudniu 1941 r. Uszczęśliwieni wydostaniem się z Tobruku, atakowali z rozmachem czerwonoskórych, a ich szef sztabu, w chwili rozwijania się tyraliery pod ogniem nieprzyjacielskim, powiedział całkiem na serio: "Jest to fajna odmiana /*nice change*/ dla chłopców. Naprawdę fajna odmiana". "Szli do bitwy jakby byli korsarzami na pokładzie piętnastowiecznego galionu". Autor obserwował przez lornetę odcinek, który gęsto ostrzeliwała artyleria nieprzyjacielska. Przez pewien czas był on spowity w tak gęsty dym, że wydawało się, iż przestał po prostu istnieć. Ale kiedy dym się rozszedł, można było zobaczyć, że Polacy idą naprzód. Ostatnie kilkanaście jardów, dzielących ich od pozycyj niemiecko-włoskich, przebiegli z bagnetem w ręku.

Potem na jesieni 1942 r. Moorehead obserwował żołnierzy polskich z Rosji, którzy eskortowali jeńców niemieckich na statku "Zola" z Durbanu do Kanady. "Co noc Polacy ustawiali się rzędem na pokładzie i odwróceni twarzą ku zachodowi śpiewali swój stary hymn narodowy. Był w tym lament, który mógł wzruszyć każde serce na każdym miejscu ziemi. Ale tutaj, na bezbrzeżach oceanu /*wilderness*/, hymn ten, śpiewany jedynie pod akompaniament fal, rozbijających się o okręt, przez tych bezdomnych ludzi — niektórzy byli chłopcami zaledwie — miał w sobie nostalgię i patos, który wywoływał zakłopotanie i przerażenie. Wszyscy ci ludzie stracili przed laty rodziny w Polsce, teraz, ubrani w obce mundury, znaleźli się na obcym okręcie. Od domów rodzinnych oddzielali ich nie tylko Niemcy, dzieliły nadto tysiące mil mórz i lądów, a sprawa polska wyglądała bardziej beznadziejnie, niż kiedykolwiek".

Polacy tworzyli na pokładzie oddzielną grupę; nie mówili po angielsku, więc łączność z nimi była trudna. Kiedy autor po raz pierwszy usłyszał hymn polski, zrozumiał, jaka niezłomność łączyła tych ludzi. Łączyła ich poza tym "religijna chęć zabijania Niemców. Widziałem Polaków zabijających Niemców; robią to z tym samym pozbawionym namiętności spokojem, z jakim chirurg wycina wrzód. Działa tu coś co jest poza obrębem nienawiści czy zemsty. Jest to bezpośrednia reakcja fizyczna, coś co sprawia, że Niemcy w Polsce zachowują się brutalniej, niż gdzieindziej. W końcu jest to, być może, prymitywny instynkt samozachowawczy".

Polacy wzorowo pełnili swoje obowiązki. Kiedy byli na służbie, nie folgowali sobie ani na chwilę. Stosunek ich do jeńców niemieckich był poprawny, ale twardy: wszelkie próby rozluźnienia dyscypliny likwidowano z całą energią.

Kiedy "Zola" przybył do Halifaxu, zaszedł mały incydent. Na podstawie konwencji haskiej, oficer będący w niewoli nie musi sam nosić swego bagażu, a tak się złożyło, że szeregowcy niemieccy opuścili okręt przed oficerami niemieckimi. "Z brakiem taktu, przechodzącym wszelkie wyobrażenie, — pisze Moorehead, — pewien oficer brytyjski kazał Polakom przenieść bagaż. Równie dobrze mógł się zwrócić do rozbitków z konwoju. Polacy odmówili". Incydent szybko zażegnano, i bagaż oficerów niemieckich przenieśli żołnierze brytyjscy.

* *Alan Moorehead. African Trilogy comprising Mediterranean Front, A Year of Battle, The End in Africa. A personal account of the three years' struggle against the Axis in the Middle East and North Africa,* 1940—3. *With a Foreword by Field-Marshal Viscount Wavell, G.C.B., C.M.G., M.C. Londyn, Hamish Hamilton,* 1944; *str.* 592.

SCRUTATOR

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ARTYKUŁU: "PISZĘ TYLKO DO RANNYCH" I "BŁĘKITNEGO FUNDUSZU"

Szanowny Panie Redaktorze!

W n-rze 40 "Polski Walczącej" przeczytałam artykuł Tadeusza Jerzego Bulsiewicza p.t. "Piszę tylko do rannych". Czytaliśmy wszyscy to porywające wezwanie. Czyśmy jednak dobrze rozważyli tytuł jego? Czy rozumiemy, co to znaczy, gdy ciężko ranny żołnierz ze swego szpitalnego łóżka woła do rannych kolegów we wszystkich szpitalach Anglii i Szkocji o pomoc dla rannych z Armii Krajowej? Dlaczego to on właśnie woła, a nie my i dlaczego tylko do rannych? W tym apelu kryje się coś, co nas, zdrowych, powinno mocno zaboleć. To jest tak, jakby nasi ranni odwrócili od nas ze smutkiem oczy, powiedzieli sobie: "ino oni nie chcom chcieć" i nasz wspólny obowiązek wzięli tylko sami na swe postrzelane ramiona, w swe sztywne od gipsu ręce. A my, osiedli od dawna na Wyspie, zadomowieni, obrośli w pierze, nie zauważyliśmy nawet tego, zajęci dbałością o własną wygodę w czasie wojny i troskę o własny dobrobyt powojenny.

Między nimi i nami stoi mur. Kto go wzniósł? Na pewno nie oni. I nie do nich należy rozwalanie go.

W akcji pomocy Warszawie składki przesyłane do Redakcji "Polski Walczącej" dosięgły sumy 1.399 funtów. Kto skrupulatnie przeglądał w poszczególnych numerach "Polski Walczącej" składki i ofiarodawców, ten wie, że żołnierze, lotnicy i marynarze zebrali ponad 1.000 funtów. Reszta przypada na społeczeństwo cywilne.

Żołnierze, lotnicy i marynarze na pewno słyszeli apel T. Bulsiewicza i ofiar nie poskąpią, uważając tę nową piękną akcję za przedłużenie, za dalszy ciąg akcji pomocy Warszawie. Ranni na pewno walnie wspomogą kolegów z Kraju. Ale rannym muszą pomóc zdrowi. Jak leżący w gipsie żołnierz ma wysłać pieniądze, jeśli nie pomoże mu w tej procedurze ktoś zdrowy i powołany do tego /kierownictwo szpitala, oświatowy, świetliczarka, w angielskich szpitalach osoby wyznaczone przez nasze organizacje opiekujące się rannymi/? I dlaczego te czynniki, o ile mi wiadomo, ustosunkowały się obojętnie do tej akcji? I dlaczego my wszyscy przeczytawszy artykuł Bulsiewicza milczymy i czekamy? Czyżby na ostemplowane podania rannych z Kraju?

W naszym zrozumieniu zdanie: "Piszę tylko do rannych" ma znaczyć: "Piszę do wszystkich Polaków w Wielkiej Brytanii". I nie wolno nam inaczej rozumieć. Nie jutro, nie za tydzień, nie po pierwszym, ale dziś, zaraz, w tej godzinie musimy wysłać składkę na "Błękitny Fundusz". Musimy odczuć wszyscy boleśnie, że krew, uchodząca z Kraju z nieopatrzonych ran, to nasza własna, nasza wspólna polska krew!

A potem my wszyscy zdrowi gorącym protestem zmażemy z tytułu wezwania rannego żołnierza słowo: TYLKO, tak, jak się zmazuje winę i wstyd.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Zofia Bohdanowiczowa

ZŁE OBYCZAJE W Y.M.C.A.

Do Redaktora "Polski Walczącej",

Tymi dniami otrzymałem z Dywizji Pancernej, m.p. Holandia, od jednego z żołnierzy list, którego wyjątki podaję bez komentarzy:

"... *pojechało kilku Kolegów do Antwerpii i wstąpiło do kantyny Y.M.C.A., bo padał deszcz i chcieli napić się herbaty. Obsługa kantyny powiedziała, że z kantyny mogą korzystać jedynie Anglicy, Amerykanie i Kanadyjczycy, w ogóle "Fighting Forces" /z wyjątkiem Polaków — przypisek mój/.*

"Innemu powiedziano, że może dostać herbaty, lecz musi szybko wypić i uciekać z lokalu. Po powrocie opowiadali o tym i mnie to bardzo ubodło. Trudno nam się zorientować, czy "zabawa" nasza z Niemcami daje jakieś korzyści Aliantom, gdy nam same straty, o których oni nie chcą wiedzieć i Polaków szanować.

"Nasza kantyna przyjeżdża przeciętnie raz na dwa tygodnie, lecz choć racje są szczupłe, na pewno nie odmówiono by Anglikowi czy Amerykaninowi sprzedaży. A żaden Polak nie chce czuć się w położeniu złodzieja, który przed innymi musi się ukrywać w korzystaniu z przywilejów, przysługujących Fighting Forces".

To już wszystko. I to bardzo wiele.

Wyrazy poważania łączę

Aleksander Janta

LIST ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH A.P.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pierre Van Passen, autor i prasowy korespondent wojenny twierdzi, że Adolf Hitler byłby wcale nieznany, gdyby świat nie był taki obojętny na wszystko, a szczególnie wtedy, kiedy właśnie Hitler stworzył swoją partię i stanął na jej czele, aby przewodzić hitlerowskim Niemcom, chcącym zapanować nad światem.

Dzisiaj świat powinien patrzeć trzeźwo na przejawy tego świata, na przebieg wojny obecnej, ażeby krew przelana przez naszych braci, synów, ojców, nie poszła na marne.

Na wielu odcinkach wojennego frontu w świecie walczą obecnie wojska polskie. Wojsko polskie zapisało nową wspaniałą kartę w historii swego bohaterstwa. Pod Cassino, Anconą, Pesaro, w Normandii, na odcinku Falaise w pobliżu Chambois.

Wkład Polski na rzecz tej wojny powinien dać Polsce prawo głosu w załatwianiu problemów wojennych i powojennych, a jednak tak nie jest.

Zaniepokojenie Polski jest zrozumiałe. Polska pierwsza padła ofiarą w tej wojnie i najbardziej cierpi, a jeszcze obawia się, że w końcu nie będzie wynagrodzona a może utracić część swego terytorium.

Polska spełniła swój obowiązek i poświęciła się dla wspólnej sprawy. Słusznie i naturalnie więc postępuje ona, gdy odmawia poniesienia tak przykrych ofiar terytorialnych.

Tak zwane Demokracje, walczące o pokój i wolność, nie powinny własnymi rękoma kaleczyć Polski, która po tych ciężkich cierpieniach musi się odrodzić, a Alianci powinni w tym odrodzeniu dopomóc.

Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych bacznie śledzi przebieg wypadków tyczących się sprawy polskiej w tej wojennej zawierusze. Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych broni Polski przez Kongres Polonii Amerykańskiej. My Amerykanie polskiego pochodzenia uważamy za swój obowiązek bronić Polski, która walczy o swą niepodległość. Mamy prawo żądać sprawiedliwego pokoju dla kraju naszych ojców i praojców. Niech żyje Polska!

Jeden spośród tych, którzy bronią imienia Polski na obczyźnie.

Wiktor A. Wojciechowski
52, Mecanics Ave., Trenton,
N.J. /Stany Zjedn. A.P./

/Przyp. red. Autor tego listu poza pracą zawodową, zajmuje się historią emigracji polskiej w Ameryce, ogłosił prócz wielu artykułów angielskich i polskich — "*The History of Polish People in Trenton*", 1932, "*First Biography of General Joseph Karge*", 1942, obecnie pisze "Historię Polonii w Stanie New Jersey" do Encyklopedii Polonii Amerykańskiej./

KOMUNIKAT

Dyrekcja Państwowego Gimnazjum Kupieckiego im. Henryka Bruna 34, West George Street, Glasgow, C.2, komunikuje, że nowy rok szkolny w kl. I, II i III rozpoczyna się dnia 1 lutego 1945 r.

F. S. W.

W styczniu roku 1944 utworzyło wojsko polskie na terenie Wielkiej Brytanii Fundusz Społeczny Wojska. Powstał on ze składek żołnierzy i jest źródłem zasiłków, udzielanych w myśl życzeń i wskazań płynących z szeregów. Na czele Funduszu stoi zarząd, złożony z przedstawicieli oddziałów, który zbiera się co kwartał dla dokonania rozdziału zebranych sum. Gospodarkę Funduszu kontroluje ponadto komisja kontrolna, złożona z 3 wyższych oficerów sztabu N.W., sądownictwa i intendentury.

Prezydium Zarządu podaje do wiadomości ogółu żołnierzy, że ostatnio Zarząd Funduszu Społecznego Wojska przeznaczył sumy na następujące cele:

£5.000 na pomoc Warszawie. Pieniądze te przekazano przez Polski Czerwony Krzyż do Genewy, gdzie zakupiono produkty żywnościowe i odzież i ekspediowano je do Kraju pod dozorem delegata Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

£2.000 na pomoc dzieciom polskim rozsianym po świecie /wyszczególnienie na końcu tej notatki/.

Ponadto Zarząd Funduszu Społecznego Wojska przyznał następujące zasiłki:

£388.4.8 na pomoc dla sierót po żołnierzach polskich we Francji i krajach oswobodzonych.

£3.000 na pomoc dla jeńców, ze wskazaniem specjalnego odżywiania wynędzniałych jeńców-obrońców Warszawy.

£150 dla Związku Inwalidów Wojennych w Wielkiej Brytanii, na zasilenie warsztatów pracy inwalidów.

£1.000 na pomoc rodzinom i dzieciom polskim zesłanym do Rosji.

£329.0.3½ na Polski Czerwony Krzyż.

£57.1.6 na pomoc rannym i chorym żołnierzom.

£12.7.3 na Fundusz Społeczny Lotnictwa.

£4 na pomoc jeńcom-lekarzom w niewoli.

34.2.6 na pomoc jeńcom-żołnierzom Dywizji Pancernej.

£9.12.6 na wdowy i sieroty po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dywizji Piechoty.

£225.4.11 na doraźną pomoc żołnierzom-inwalidom.

Wreszcie podkreślić należy, że analogiczna akcja zbiórki na cele społeczne prowadzona jest wśród żołnierzy Oddziałów Polskich we Włoszech.

* * *

Kilkanaście tysięcy dzieci polskich, przeważnie sierót, które z Armią Polską na Wschodzie wyszły z Rosji, jest obecnie rozmieszczonych w sierocińcach i schroniskach, rozsianych po wszystkich częściach świata.

Zarząd Funduszu Społecznego Wojska na posiedzeniu dnia 4.XI 1944 r. przeznaczył kwotę £1000 na pomoc dla tych dzieci.

Pierwsze £1000 przekazano w m-cu październiku, drugie £1000 przyznano obecnie.

Pieniądze skierowano na ręce Konsulów R.P. w wysokości proporcjonalnej do ilości dzieci polskich znajdujących się na terenach poszczególnych konsulatów z przeznaczeniem przede wszystkim na pomoc dla sierot. I tak rozdzielono na poszczególne placówki:

Konsulat Generalny R.P. Capetown .... £ 60
Konsulat Generalny R.P. Nairobi £850
Konsulat Generalny R.P. Jerozolima £170
Konsulat Generalny R.P. Teheran £210
Konsulat Generalny R.P. Bombay £250
Konsulat Generalny R.P. w Nowej Zelandii .... £ 90
Minister Strasburger, Cairo £370

* * *

Formalne sprawozdanie rachunkowe F.S.W. za r. 1944 będzie niebawem ogłoszone.

Na pomoc Warszawie: £1,979

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Zamiast zamierzonego prezentu gwiazdkowego dla p. Tadeusza Bulsiewicza, przesyłam £1 /jednego funta/ na "Błękitny Fundusz", wraz z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia inicjatorowi tego szlachetnego pomysłu.

Halina Terlecka
ppor. PSWK.

* * *

Stanisław Kozierkiewicz £1 /jednego funta/ na "Błękitny Fundusz".

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £4 /cztery funty/ z przeznaczeniem na pomoc dla jeńców Armii Krajowej zamiast upominku gwiazdkowego dla przełożonego szpitala nr. 2 "Sefa" od sióstr.

H. Zagórska

* * *

Pozwalam sobie przyłączyć się do szczytnego projektu p. Jerzego Bulsiewicza art. "Polski Walczącej" nr. 49. "Piszę tylko do rannych" i przesyłam bezimiennie postal order na sumę £1 /jeden funt/ dla Rannych Armii Krajowej.

* * *

Załączam postal order na sumę £2 na pomoc rannym Armii Krajowej.

K. Gordas

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

It gives me the greatest pleasure to enclose £5.5.0 /five guineas/ for the Scottish Wing of the Sikorski Memorial Hospital. This has been collected by my senior girls for a dolly made by one of them.

"Long live Poland and Scotland" and may their friendship grow closer with the passage of time.

H. S. Stewart

Tellicoultry 21.XII.44.

Pracownicy Polskiej Y.M.C.A. w formie dobrowolnych składek za miesiąc listopad i grudzień 1944 r. wpłacili na Pomoc Warszawie kwotę £24 /dwadzieścia cztery funty/.

* * *

Bezimiennie na pomoc Warszawie £10 /M.O. nr. VS 37545/.

* * *

Uprzejmie proszę o ogłoszenie w poczytnym piśmie Panów — samorzutnie złożonej kwoty na pomoc Warszawie przez żołnierzy grupy specjalnej Obozu Nr. 5 Forres.

3 kompania żołnierzy grupy specjalnej £21.15.0
2 kompania żołnierzy grupy specjalnej £19. 0.0

Razem £40.15.0

Komandant Obozu
K.R. kpt.

* * *

Adam Kossowski składa £10 /dziesięć funtów/ z nagrody uzyskanej na konkursie malarstwa religijnego na pomoc dla ludności Warszawy.

* * *

Przesyłam "bezimiennie" 10 sh. na pomoc Warszawie.

* * *

W załączeniu przesyłam dwa funty na pomoc Warszawie zamiast opłaty za ogłoszenie zbiorowego nekrologu poległych oficerów 10 Pułku Dragonów.

Bończa Ordowski

£19 /dziewiętnaście funtów/ składka Oficerów S.P.P. na rzecz Warszawy za miesiąc styczeń 1945 r.

* * *

Na pomoc Warszawie Maławski i Spółka — sh.13 d.6 /trzynaście szyl., sześć pensów/.

* * *

Przesyłam w załączeniu Money Order na £5 — ofiarowane na Fundusz Pomocy Warszawie przez "British Legion, Melrose Branch".

D-ca Plutonu Opieki n/Żoł.
/K. Adam, kapitan/

* * *

Kwotę £1 /jednego funta/ nadesłaną jako opłatę za umieszczenie nekrologu o ś.p. kpt. Edwardzie Judkowiaku, który poległ na polu chwały w walkach 1 Dywizji Pancernej w Holandii — redakcja "Polski Walczącej" przeznacza na pomoc Warszawie.

* * *

Na cele "Pomocy Dzieciom Warszawy" złożyli zamiast urządzenia przyjęcia koleżeńskiego:

Nowomianowani oficerami ppor. F. ppor. T. i ppor. W. po dwa funty —razem funtów 6 /sześć funtów/.

St. sierż. Śl. Piotr dwa funty, z okazji awansu.

* * *

W załączeniu przesyłam przekaz pieniężny na sumę £2 /dwa funty/ na Fundusz Pomocy Warszawie.

Hanka Schön

Przesyłam kwotę £17.1.7 uzyskaną w dniu 4.1.1945 r. z koncertu wspaniałej orkiestry Czołówki muzycznej pod kierownictwem por. Makowicza, oraz ze sprzedaży pączków w czasie koncertu.

Wymienioną kwotę proszę przesłać do P.C.K. na fundusz ratowania dzieci.

Ponadto kurs podoficerów gospodarczych przesyła kwotę £3.12.0 na fundusz pomocy Warszawie.

Kierownik Kursów
mjr. int. z WSW.

* * *

Żołnierze Kompanii Sztabowej Obozu Specjalnego Nr. VI składają z okazji Świąt Bożego Narodzenia kwotę £40 na rzecz pomocy bohaterskim braciom m. Warszawy.

Komendant Obozu nr. VI.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £183.12.1 /słownie: sto osiemdziesiąt trzy funty, dwanaście szylingów i jeden pens/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,979.19.10½ /słownie: tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć funtów, dziewiętnaście szylingów, dziesięć i pół pensa/.

NA "PACZKI OD SERCA" DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

Wobec tego, że otworzyła się możliwość wysyłania paczek dla jeńców z Armii Krajowej, wziętych do niewoli przez Niemców po upadku Powstania Warszawskiego — Sekcja Pomocy Jeńcom Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet w Londynie zwraca się do Czytelników "Polski Walczącej" — zarówno żołnierzy, jak i osób cywilnych — z prośbą o nadsyłanie ofiar na ten cel.

Powstała doraźna możliwość dopomozenia żywym ludziom Warszawy — śpieszmy więc Im z pomocą.

Dary należy przesyłać za pośrednictwem "Polski Walczącej".

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

P. E. Sinclair z Gifford £2 na Fundusz Ratowania Dzieci.

* * *

Dwie panie Brytyjki nie życzące sobie ujawnienia ich nazwisk, przesłały £2.2.0 /dwie gwineje/ jako "a poor token of sympathy" z przeznaczeniem na "Polish Children Rescue Fund".

* * *

Przesyłam w załączeniu P.O. na kwotę £2.5.9 złożoną przez 2. Komp. Mot. Spad. na fundusz pomocy sierotom z Rosji.

Oficer Opieki Z.P.

* * *

Bezimiennie na Polish Children Rescue Fund £5 /pięć funtów/.

* * *

W załączeniu przesyłam 10 sh. wręczone mi przez Mr. and Mrs. Drummond Smith, Montrose na sieroty po poległych żołnierzach.

Sembak Bronisław

FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WLKP. DYW. PIECH.

W załączeniu przesyłam P.O. na 5 sh. z przeznaczeniem na Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach b. 14 Wlkp. Dyw. Piech.

mjr. M.

NA "PACZKI OD SERCA"

Niniejszym pozwalamy sobie przekazać za pośrednictwem "Polski Walczącej" kwotę £144.10.0 uzyskaną z imprezy urządzonej przez Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet — Sekcja Opieki nad Jeńcami oraz Brytyjskich i Polskich Oficerów 70 Grupy w Aldershot w dniu 3 grudnia r.ub. Powyższą kwotę prosimy przekazać na "Paczki od serca".

We have pleasure in forwarding for the Polish Prisoners of War Fund the sum of £144.10.0 — proceeds from tea-dance at Aldershot on the 3.12.1944 arranged by British and Polish Officers 70 Group and Polish Women's Social Service Society in the United Kingdom.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

PO PRZEMÓWIENIU NOWOROCZNYM HITLERA



—Tylko na zakończenie niech się pan nie pomyli i nie zawoła: Heil Hitler!

Sobowtór: — Taki idiota to już nie jestem, zrobiłem sobie węzełek ...

PERPETUUM KORESPONDENTA WOJENNEGO

—Niech mi pan powie, skąd ten Maciej bierze tyle humoru na tym froncie?

—Jakto skąd? po prostu czyta później własne korespondencje ...

Z ŻYCIA ...

W domu Polsko-Szkockim pianistka-Szkotka gra na fortepianie. Przez cały czas gry dwie Polki "ucinają" sobie głośną rozmówkę.

—Co panie sądzą o tej artystce — zagadnął jeden z żołnierzy — akompaniuje doskonale!

—Jakto, akompaniuje?? Przecież nikt nie śpiewał! ...

—Ale zato panie szczebiotały! ...

DOBRZE ZROZUMIAŁ



—Co to nosicie na naramienniku?

—Guzik panie szefie! Pan kapitan po awansach powiedział, że mnie należy się guzik, nie belka! ...

ZWOLENNIK LICZBY MNOGIEJ



—Taki młody a już pali?!!! Nie wstyd wam?

—Nie, panie kapitanie — bo oni nie palą ...

MÓWIĄ ...

Mówią w Londynie, że najpopularniejszą zabawą wśród naszej emigracji jest zabawa w listonosza. Każdy pisze ... list otwarty.

AUTENTYCZNE

Znany komik szkocki Harry Gordon występuje w jednym z teatrów w Glasgowie. Na przedstawienie sylwestrowe przybył jeden z polskich chorążych, p. R. Po jednym z numerów Gordon wręczył pięciu osobom fotografie z dedykacjami, następnie zaznaczył, że osoby te proszone są o zjawienie się na scenie po przedstawieniu. Jednym z wybranych okazał się Polak, któremu publiczność zgotowała owację. Aktor złożył mu serdeczne życzenia noworoczne i na "souvenir" wręczył oryginalną butelkę *whisky* ...

Na widok cennego napoju Polak zaniemówił.

—A może pan nie pije *whisky*? — zapytał Gordon.

—Co pan myśli, że ja jestem Ghandi i tylko kozie mleko piję?! — odpowiedział Polak, wywołując salwę śmiechu ...

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie...?

1. Kto to był Sir Julius Caesar a kto Sir Winston Churchill?
2. Ilu posłów ma angielska Izba Gmin /parlament/?
3. Kto był pierwszym spadochroniarzem?

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

/d/

"Jestem starym człowiekiem i miałem wiele zmartwień w życiu, ale większość z nich nigdy właściwie nie istniała". /Mark Twain/.

/d/

Dygnitarz hitlerowski zakupił sobie wspaniałą willę, która według doniesień miejscowej gazety kosztowała 60.000 marek. Następnego dnia ktoś przybił do drzwi wejściowych kartkę z napisem: "Skąd wziąłeś 60.000 marek"? Zagniewany dygnitarz ofiarował tysiąc marek nagrody za wykrycie sprawcy. Następnego dnia znaleziono na bramie nową kartkę z napisem: "Skąd wziąłeś 61.000 marek?"

/d/

Odpowiedzi:

1. Sir Julius Caesar był burmistrzem Londynu w czasach królowej Elżbiety a Sir Winston Churchill był ojcem pierwszego księcia Marlborough.
2. 615-u.
3. André Jacques Garnerin w 1797 roku.

UCIESZONY ...

W Sylwestra ulicami Berlina biegnie jakiś generał niemiecki, który krzyczy bez przerwy:

—Mein Kampf! Mein Kampf! ...

Zaintrygowany policjant podchodzi do generała i zapytuje:

—Dlaczego pan generał jest taki ucieszony?

—Ponieważ wygrałem zakład z Göringiem. Założyłem się, że w 1944 roku jeszcze nie wygramy wojny ...

WESTCHNIENIE MŁODEGO PODPORUCZNIKA

... żeby wróciły te czasy, kiedy człowiek mógł zjeść za 6 pensów bekon z jajkiem w kantynie! ...

ZDZIWIENIE PANA X.



—Kiedy to pan kolega dostał te krzyże?

—Między jedną bitwą a druga ...

Tekst i rysunki: TONY

PODZIĘKOWANIE

Wszystkim tym — którzy zgodnie z apelem P.C.K. przesłali datki na "Pomoc Warszawie" i "Dla Rannego Żołnierza" zamiast życzeń świątecznych — składa Polski Czerwony Krzyż serdeczne "Bóg zapłać".

SPIS RZECZY:

P. HEDINGER brat Mieczysława proszony jest o podanie swego adresu do Redakcji "Polski Walczącej".

POSZUKIWANIA

Emil Reiska poszukuje syna: JANA EMILIANA REISKA ur. 22.VI.1922 w Sandomierzu. Wszelkie wiadomości proszę kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

P. WACŁAW TENGOWSKI ma do odebrania list w Redakcji "Polski Walczącej".

LUDNIK WANDA poszukuje brata swego GLIŃSKIEGO JANA. Ostatni znany adres z roku 1943 był w Teheranie. Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.